Nr. 44. Warszawa, dnia 17 (29) Października 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południn.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NA KRECIE.

Po czterech prawie latach Grecy kreteńscy doczekali się nareszcie wyzwolenia od Turków. Nareszcie Europa, na której pojęcie składają się cztery mocarstwa: Rosya, Anglia, Francya i Włochy, okazała energię nietylko piórem, ale i czynem. Turcy ustępują z wyspy, ustępuje i żołnierz i urzędnik turecki. Ludność, mieszana, przeważnie grecko-chrześciańska, dostanie się pod przejściowy rząd „admirałów,“ którzy rozporządzają już siłą zbrojną czterech państw powyższych do utrzymania porządku wystarczającą, a mając już gotowy, dawniej ułożony i przez Turcyę przyjęty statut organiczny, formy jego wypełnią ludźmi, uporządkują zarząd, wytworzą organa porządku i bezpieczeństwa i, wprowadziwszy ład prawny, zdadzą władzę temu, kogo wybór Europy na stałego rządcę wyspy powoła. Ustąpienie Turków jest już samo przez się rozwiązaniem wstępnem, prowadzącem do ostatecznego. Bez wątpienia, nie pójdzie to uspakajanie i urządzanie wyspy w życiu tak łatwo, jak poszło na papierze. Można oczekiwać od admirałów rzeczywistego urządzenia i uspokojenia trwałego, jeśli tylko stojąca za nimi Europa nie rozleci się napowrót tak, jak szczęśliwie teraz się zeszła w całość jednej, niepodzielnej woli. Czy ostatecznie Kreta dostanie się Grecyi, która ma do niej lepsze prawa, niż Turcya; czy też wpadnie w ulubiony dzisiejszej dyplomacyi stan tymczasowości, jako do nikogo wyraźnie nienależąca, ale nienależąca też i do samej siebie — do Turcyi już nie powróci, a to jest i dla niej i dla publicystyki najważniejsze.

Energia, nareszcie uwieńczona skutkiem, z tego koncertu opuszczonego już przez dwóch uczestników, Niemcy i Austro-Węgry, zaczęła wystrzeliwać najpierw drobnymi, później coraz silniejszymi promieniami w początkach września r. b. Wypadek zewnętrzny pobudził ją, podrażnił i jako siłę zbiorowej woli zorganizował. Wypadkiem tym było rzucenie się muzułmanów w Kandyi (Megalokastron) na chrześcian, na samo nawet wojsko angielskie d. 6 t. m. Anglicy wzięli natychmiast odwet. Odrazu zbombardowali miasto przez muzułmanów zupełnie opanowane, zwolna zgromadzili wojsko lądowe z Malty i z Kairu; zażądali od komendanta tureckiego wydania przestępców i rozbrojenia ludności, a gdy śledztwo stwierdziło, że żołnierze tureccy strzelali do angielskich — zawziął się leopard wielkobrytański na zupełne wyparowanie Turków z wyspy. O to samo zawołał komitet wykonawczy powstańców greckich. D. 10 zaświtała już myśl powołania księcia Jerzego na gubernatora generalnego. Oczywiście, energia Anglii nie mogła pozostać odosobnioną; inni uczestnicy koncertu pospieszyli i z okrętami i z wojskiem i z działaniem dyplomatycznem: kiedy ma być podróż wspólna, niechże będzie równym krokiem. Niebezpodstawnie nawet *Köln. Ztng* powiedziała, że zadaniem Europy głównem, zadaniem praktycznem, pobudką bieżącą działań, nie tyle jest przywrócenie porządku, ile raczej dopilnowanie, aby Anglia sama, na własną tylko rękę, go nie przywróciła, a miała już do tego wielką ochotę i ofiarowała się ponieść wszystkie ciężary przedsiębiorstwa. Tę gotowość do poświęceń łatwo każdy zrozumie, kto rozważy samo tylko geograficzne położenie Krety; to położenie właśnie w związku z myślą o praktykach egipskich, nakazało Europie pospieszyć tam, gdzie stała już Anglia, dać się powodować jej energii i zamysłom w bezpośrednie jutro sięgającym. Przeświadczenie o nieuchronności rozpadnięcia się Turcyi, przenikające coraz głębiej do umysłów tej nawet dyplomacyi, której interes własny nakazywał Padyszacha i jego ziemie oszczędzać — dla siebie, umożliwiło poparcie zgodne polityki angielskiej, która tu okazała dawno niebywałą dzielność woli, i idąc przodem, innych pociągała za sobą. Obecne, spokojne bez rozlewu krwi dotychczas, wyrzucenie Turków, za zgodą samych Turków, jest głównie zasługą polityków angielskich.

Już d. 13 września zatelegrafowano z Londynu, że mocarstwa działające postanowiły baszybuzyków wraz z rodzinami wywieźć z wyspy — główni to aktorowie na tureckich widowniach krwawych nieporządków — zażądać od Porty usunięcia wojsk regularnych, urzędników tureckich pousuwać, a ks. Jerzego zamianować gubernatorem. Tego dnia było już zgromadzonych pod Kandyą 3,000 żołnierzy europejskich i 11 okrętów. Turcya w dwóch notach dopominała się sama gubernatora chrześcianina, ale odrzuciła wycofanie wojsk. Układy dyplomatyczne trwały przez resztę września, a tymczasem Noel, admirał angielski, dokonywał odwetu na rozbójnikach Megalokastronu. D. 25 września mocarstwa, każde z osobna powtórzyło żądania powyższe. Turcya zwlóczyła, tłomaczyła się, uniewinniała, błagała, póki na początku października nie doczekała się noty zbiorowej z terminem do 15 t. m. o następujących siedmiu punktach: 1) Turcya wycofa wszelką swą siłę zbrojną; 2) wyspę zajmą mocarstwa; 3) urzędnicy europejscy, zamiast kreteńskich, tak cywilnych, jak wojskowych; 4) mocarstwa poręczają muzułmanom bezpieczeństwo i własność; 5) ułatwiają im wychodźtwo; 6) autonomia pod protekto-

ratem mocarstw; 7) ks. Jerzy gubernatorem generalnym.

Porta jeszcze zwłóczyła, jeszcze chciała ratować sytuacyę, a rzeczywiście tylko ją pogarszała. Kiedy już niepodobna było wobec groźby działania siłą wytrwać w oporze bez nadziei, rząd sułtański zapragnął tylko trzech załóg na całej wyspie, jako symbolu władzy, przystawał choćby tylko na jednę: nie dano mu i tej zabawki i kazano poddać się bezwarunkowo. D. 14-go b. m. sułtan zrzekł się już wszelkiej symboliki, poprosił tylko o rozzbrojenie chrześcian, co jest słusznem i zapewne wykonanem będzie. D. 17 b. m. Dżewad, gubernator, i Edhem, dowódca wojskowy, mieli już rozkazy do wywiezienia garnizonów z Krety. Z ich wyjazdem nawet wobec prawa dyktowanego przez dyplomacyę skończy się i panowanie tureckie. W owych siedmiu punktach niema najmniejszego zastrzeżenia praw sułtańskich, a opór przeciwko niewinnym symbolom wskazuje, że nareszcie Europa postanowiła już raz na zawsze wyjarzmić Greków kreteńskich z pod Turków. Ustaje 350-letnia prawie przemoc barbarzyństwa i siły brutalnej. Zaczyna się epoka walki obu żywiołów ludności, a wraz z nią epoka współzawodnictwa mocarstw o wpływ nad wyzwoloną wyspą. To współzawodnictwo właśnie powinnoby przyspieszyć jedyne naturalne rozwiązanie: powrót do Grecyi.

Tydzień polityczny. Burzliwe otwarcie Izby deput. we Francyi, d. 25 b. m. odbyło się niezupełnie według programatu Deroulède'a, Drumonta, Rocheforta i popierającej ich kliki monarchicznej, rząd bowiem spełnił całkowicie swój programat odcinając pałac Izb od reszty Paryża. Wichrzyciele utracili przez to czucie z ludem, a gdy wędrowali przez pusty plac do Palais Bourbon, wyparowało z nich i to poczucie ogromu, potęgi i masy, które im głównie siły dodaje do podkopywania rzeczypospolitej pod hasłem „Huzia na Dreyfusa.“ Gen. Chanoine, minister wojny, programatu naganki nie zmącił: zmówiwszy się potajemnie z wichrzycielami, wszedł na trybunę i z trybuny rzucił rządowi swą dymisyę pod nogi, nie mogąc, również jak i poprzednicy jego, przystać na rewizyę procesu Dreyfusa. Brisson, prezes gabinetu, postawił sprawę zasadniczo: władza cywilna musi stać nad wojskową, armii należy się poszanowanie i ufność.

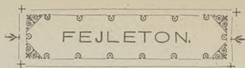
Hr. Murawiew d. 23 był już w Wiedniu. Narady jego z hr. Gołuchowskim dotyczyły nietylko kongresu przeciwko uzbrojeniom, ale i spraw bałkańskich kongres odbędzie się bądź w Brukselii, bądź w Petersburgu. Tylko Anglia i Stany Zjednocz. nie zapowiedziały dotychczas swego uczestnictwa Rosebery w Perth pragnie szczegółowego programatu.

Zatarg o Faszodę dwiema księgami już wzbogacił literaturę dyplomatyczną: błękitną i żółtą, wzbogacił ją i mową w Northshilds przez Hicksbeacha, kanclerza szachownicy. Wojna z Francyą byłaby nieszczęściem, ale są większe od wojen nieszczęścia; rząd nie cofnie się przed niczem, bo ma naród za sobą. — Francya żąda innego punktu nad Nilem, gdyby nie mogła mieć Faszody. Anglicy punkt ten teraz upatrują, ale zdaje się, że sam p. Delcassé jeszcze go dobrze nie widzi. W każdym razie będzie rejterada — w żadnym przecież wypadku wojny nie będzie.

Cesarz Wilhelm jest już w Jerozolimie, gdzie duchowieństwo poświęcić ma ewangielicki kościół Zbawiciela. Sułtanowi podarował laskę, naśladującą kij Fryderyka W.— także trafny wybór i daru obdarowanego! — a Konstantynopolowi rysunek własny na fontannę, bo cesarz jako geniusz wszechstronny, jest i rysownikiem znakomitym; do rysunku dodał jeszcze i fundusz na budowę. Pełen pomysłowości, a zawsze oryginalny!

W Prusiech prawybory do sejmu.

Paryż, 26 października. Izba przyjęła rezolucyę Brissona, o przewadze władzy cywilnej nad wojskową, 559 głosami przeciw 2, ale zaraz potem, mimo oporu Brissona, uchwaliła i rezolucyę Mahy'ego, aby rząd położył kres napaściom na dobrą sławę armii, 296 gł. prz. 243, a 286 gł. prz. 245 odrzuciła porządek dzienny, wyrażający zaufanie do rządu. Brisson z całym gabinetem podał się do dymisyi. Faure przyjął; do utworzenia nowego gabinetu ma powołać napowrót Brissona, po nim — Delcassé'go, Dupuy, Ribota. Izby odroczone do 4 listopada. Lockroy tymczasowo ministrem wojny. W kołach szczerze republikańskich silne domniemanie zmowy monarchistów, republikanów klerykalnych i antisemitów z generałami, którzy nie chcą w żaden sposób dopuścić do rewizyi procesu Dreyfusa. W powietrzu czuć przewrót. Przeciwnicy rewizyi i samej rzeczypospolitej wytężają wszystkie siły, aby opanować Faure'a.



PAMIĘTNIK.

Dżuma w Wiedniu.

W Wiedniu zdarzył się wypadek, który przypomina wyskoczenie z otwartej klatki drapieżnego zwierzęcia w ogrodzie zoologicznym lub menażeryi. Tygrys, skorzystawszy z niezamkniętych przez dozorcę drzwi, uwolnił się z więzienia, zagryzł naprzód dozorcę, potem kilkoro ludzi w pobliżu stojących i... Co tu mamy dopisać? Czy że został natychmiast zabity, zanim wybiegł po za kraty ogrodzenia, czy też że zdołał wymknąć się i rozszarpać jeszcze więcej ofiar? Nie spodziewamy się, ażeby dżuma, która w wiedeńskiem laboratoryum bakteryologicznem, zapewne skutkiem jakiejś nieostrożności, uśmierciła służącego i lekarza (dr. Müllera), a napadła również dwie siostry miłosierdzia, mogła wydobyć się po za lokal szpitalny. Spostrzeżono jej wybuch wcześnie, odosobniono ściśle zarówno tych, którzy umarli, jak tych, którzy chorują lub są podejrzani co do swego zdrowia, w powietrzną wędrówkę zarazy trudno wierzyć wobec tego, że jej bakterye długo przebywały w kulturach i nie rozleciały się — więc obawy, ażeby Wiedeń nie stał się drugą Wetlanką, są płonne. Zresztą sądzimy, że dziś już żadna cholera lub dżuma, żadne wogóle „morowe powietrze“ nie może ani tak rozszerzyć się, ani dokonać takich spustoszeń w Europie, jak przed kilkunastu laty lub dziś w Azyi. Pochodowi średniowiecznej mary z czerwoną chustą zagradza dziś drogę na każdym kroku czystość narodów cywilizowanych i ich urządzenia hygieniczne. Jeszcze nie umiemy leczyć moru, ale zdobyliśmy ważniejszy od leków środek powstrzymywania jego rozwoju. Już obecnie dżuma i cholera są przeważnie chorobami brudasów, a jeżeli one lęgną się ustawicznie w Azyi, to nie dlatego, że sobie upodobały tamtejszy klimat lub grunt, ale dlatego, że tamtejsze niechlujstwo do-

---

Dokument tajemny procesu Dantona

Szkic historyczno-prawny

przez

JÓZEFA REINACHA*).

I.

Znane są słowa żyrondysty Riouffe'a: „Ten straszny Danton został istotnie *zeskamotowany* przez Robespierre'a:

Oto historya tej zbrodni.“

I.

Rankiem 10 Germinala (31 marca 1794 r.) Danton, Kamil Desmoulins, Lacroix i Philippeaux zostali zaaresztowani i odstawieni do Luksemburga. Nad rozkazem zaaresztowania naradziły się w nocy Komitet ocalenia publicznego i Komitet bezpieczeństwa. Posiedzenie trwało długo, wypełniono je prawie w zupełności odczytaniem obszernego oskarżenia, zredagowanego przez Saint-Justa w stylu akademickim, według notat Robespierre'a. Uwaga końcowa zaznaczała: iż „Danton wymagał amnestyi dla wszystkich winowajców, że oświadczył to otwarcie, że zatem pragnął kontrrewolucyi.“ Nie wiadomo, czy głosowano. Świtało. Lavicomterie (z Komitetu bezpieczeństwa) opowiedział, że „wszyscy byli najzupełniej wyczerpani.“ Rozkaz „pośpiesznie skreślony na lichym papierze kopertowym,“ nie na przeznaczonym do tego rodzaju aktów, zaopatrzono w osiemnaście podpisów. Na czele kolejno: Billaud-Varennes, Lebas, Barere, Carnot, Saint-Just zajął ósme miejsce, Robespierre—przedostatnie, Couthon—ostatnie. Nie podpisali go tylko Filip Ruhl i Robert Lindet bądź dlatego, że odmówili, bądź że zdołali się wycofać przed końcem posiedzenia.

Przyjaciele (Panis, Thibaudeau) ostrzegli Dantona, że Robespierre knuje spisek na jego zgubę. Z początku odpowiedział, wzruszając ramionami: „Gdybym wierzył, że to mu tylko przez myśl przeszło, pożarłbym mu wnętrzności.“ Przekonał się następnie, że Robespierre odważył się; czekał —zrezygnowany. „Niema co począć—powiedział. Oprzeć się? Przelać krew? Dosyć jej przelano. Wolę być zgilotynowanym, niż gilotynować.“ Gdy nalegano, aby zbiegł, odparł: „Czy z podeszwą twego buta unosisz także ojczyznę?“

II.

Danton był podwójnie podejrzanym: chciał skończyć z terroryzmem i był zaporą do dyktatury Robespierre'a. *Stary Kordelier* zrodził się z tych słów, że „pewnego dnia, rzeczpospolita bezpieczna mogłaby się stać Henrykiem IV—ułaskawić swych wrogów.“ Zrobił korektę odbitek dziennika swego przyjaciela, mianowicie sławnego № III-go, który stylem Tacyta denuncyował tyranię gilotyny i № IV-go, niemniej godnego podziwu, w którym wybucha apostrofą do wolności: „Jeśli pod wolnością nie pojmujecie, jak ja, zasad, lecz tylko kawał kamienia, to niemasz bałwochwalstwa głupszego i kosztowniejszego nad nasze. O, drodzy moi spółobywatele, czyż do tego stopnia bylibyśmy spodleni, żebyśmy mieli bić czołem przed podobnymi bożyszczami? Swoboda, to sprawiedliwość!“

Wskazał przeto samego siebie, jako przywódcę sławnego „Komitetu pobłażania.“ Słowo to, zarówno dla tych, którzy szli za Robespierrem, jako też dla tych, którzy przed nim drżeli, łączyło w sobie wszelkie potworności. Gdy kto powiedział: „Komitet pobłażliwości,“ powiedział wszystko.

Dwie te zbrodnie przetłomaczono na język ówczesny w sposób następujący: „Spól-

*) Szkic ten odsłania jeden z nieznanych wypadków historycznych, pozostający w pewnem formalnem pokrewieństwie z procesem Dreyfusa, gdyż w obu sprawach wyroki zapadły na podstawie dowodów nieokazanych oskarżonym. *Red.*

starcza im wybornego podłoża. Każdy niemal Indyanin jest kawałem agar-agaru, na którym hodować można wszelkie bakterye. Europa oświecona korzysta z wody i mydła, z dwu najskuteczniejszych specyfików przeciw wszelkim zarazom.

Nieurodzaj kartofli.

Z wielu stron kraju nadchodzą smutne wiadomości o nieurodzaju kartofli, który jest największą klęską gospodarczą dla naszego włościanina. W życiu jego bowiem ziemniak gra daleko ważniejszą rolę, niż mu się z małej wartości pokarmowej należy. Chłop nasz nie jada prawie wcale warzyw, unika wysoce pożywnego grochu oraz niektórych kasz (zwłaszcza jęczmiennej i greczanej), a za największy przysmak uważa kartofle. Ile razy w kuchniach dworskich próbowano urozmaicić potrawy dla czeladzi, a nadewszystko zmniejszyć ilość kartofli, spotykano z jej strony zacięty opór. O ile chodzi o zastosowanie pokarmów do potrzeb fizycznych naszego ludu, kartoflomania jest objawem bardzo niepożądanym. Nie będziemy tu śledzili jej rodowodu, prawdopodobnie jest ona dziedzictwem ubóstwa naszych włościan, które ich skazywało na strawę najtańszą, a w ciągu czasu wyrobiło do niej nałóg. Ponieważ ten nałóg nie da się łatwo zmienić i zapewne jeszcze będzie się utrzymywał bardzo długo, ponieważ zresztą służy on za podstawę gospodarki chłopskiej, więc tegoroczy nieurodzaj stanowi rzeczywistą klęskę. Najbardziej ucierpią na niej włościanie małorolni i wyrobnicy wiejscy, którzy prawie wyłącznie żywią się kartoflami, oraz ordynaryusze, uprawiający je na działkach folwarcznych. Ulga dla pierwszych mogłaby być jedynie dziełem zabiegów państwowych, gdyż ona przechodzi siły ofiarności prywatnej; natomiast wyratowanie z kłopotu czeladzi dworskiej jest obowiązkiem pracodawców. Nietylko obowiązkiem, ale nawet interesem; gdyż — jak słusznie zaznacza *Gazeta Polska* — parobcy, którzy nie będą mieli kartofli na wyżycie i zasadzenie, zaczną ku wiośnie opuszczać służbę i uciekać na zarobki zwłaszcza w bliskości miast większych. Sekcya rolna Towarzystwa przem. i handlu powinna się nad tą sprawą zastanowić i opracować jakieś ogólne wskazówki postępowania.

Jarmak na owoce.

Śród wielu handlowych pomysłów Towarzystwa ogrodniczego jarmark na owoce należy do szczęśliwszych. Zamiar skupienia produktów, wytworzenia dla nich skoncentrowanego targu i giełdy owocowej zasługuje na uznanie. Jeżeli zważymy, że te same gruszki i jabłka, które spożywca warszawski nabywa po 15 rb. za pud, hodowca wiejski sprzedaje pośrednikowi po 50 kop. za pud (autentyczne); jeśli pojmiemy, że skutkiem nieustalonego handlu i fantastycznych a zawsze ku zniżce dążących cen owoców ich kultura nie opłaca się rolnikowi i nie przyjmuje tych rozmiarów, jakich wymagają potrzeby i interesy ekonomiczne kraju; jeśli wreszcie uwzględnimy, że Królestwo Polskie nie pokrywa swoją produkcyą wymagań własnego rynku, a mogłoby wywozić owoce nawet za granicę— np. do Niemiec, sprowadzających ogromne ich masy z Ameryki, to zrozumiemy, że uregulowanie tej gałęzi handlu ma dla nas wielką doniosłość. Dotychczas owoc jest tu przedmiotem zbytku, podczas gdy w całej Europie stał się zwyczajnym artykułem żywności i warunkiem hygienicznego karmienia się. Corocznie przychodzą do nas z zagranicy żądania wielkich partyj tego towaru — a my nie możemy im zadośćuczynić dlatego, że nie mamy ogniska handlowego, w którem by się jednoczyły dostawy cząstkowe. Gdzież np. u nas można kupić dziesięć lub piętnaście wagonów jabłek, chociaż w danej chwili posiadamy ich więcej, ale rozrzucone po wielu miejscach? Zwłaszcza zaś jabłka, które w przeważnej liczbie odmian nie znoszą klimatu gorącego i dla których nasz kraj jest strefą bardzo odpowiednią, powinnyby odegrać i kiedyś niezawodnie odegrają daleko ważniejszą rolę w naszej produkcyi, niż obecnie.

Dziś próby jarmarkowe, podjęte przez Tow. ogrodnicze, nie dały jeszcze tych wyników, jakich oczekujemy: dostawy były małe, obroty skromne. Ale tegoroczna wykazała widoczny postęp w porównaniu z przeszłoroczną. Przywieziono owoców więcej, a co najważniejsze przywieziono bardzo ładne i to nie z ogrodów słynnych swą wysoką kulturą, ale z dworskich. Niektóre gatunki (renety Kanadyjskie, Kalwile jesienne, Sztetyny, d'Augoulemy, bery Diela, Dobre Ludwiki itd.) były tak okazałe, że mogłyby zwycięzko wystąpić na najpierwszych targach europejskich.

Jak w każdej produkcyi, tak i w tej istnieje wzajemna zależność przyczyn i skutków. Dobra hodowla tworzy szeroki zbyt, ale również szeroki zbyt warunkuje dobrą hodowlę. Jeżeli więc jarmarki na owoce rozwiną się, niewątpliwie oddziałają pobudzająco na hodowlę. I gdyby jeszcze Towarzystwo ogrodnicze w swych staraniach nie ograniczało się do handlu, lecz zwróciło je ku produkcyi, którą dotychczas prawie zupełnie zaniedbuje, moglibyśmy mieć nadzieję, że te ugorujące lub źle uprawiane pole zacznie nam wydawać pożądane plony.

Elegia hakatysty.

Korespondenci kilku dzienników warszawskich donoszą, że jakiś hakatysta miał w Dreźnie odczyt — rozumie się przeciwko Polakom. Czcigodny ten gąsior Kapitolu germańskiego, przytaczając dowody wrogich usposobień prasy naszej względem Niemców, odczytał ustęp z *Liberum veto* o Prusakach, podstawiwszy na ich miejsce w swym przekładzie Niemców. Podobno całe zgromadzenie, wysłuchawszy tej obrazy majestatu krzyżackiego, zagrzmiało chórem nieartykułowanych głosów, mających wyrażać oburzenie. I po co bolejący elegista zadawał sobie trud tłomaczenia naszego fejletonu i sprowadzania zwierciadła dla Prusaków aż z Warszawy? Czy nie uprościłby sobie zadania, gdyby był odczytał kilka stronic z pism Börnego lub Heinego? Z dzieł autorów niemieckich możnaby zebrać tak olbrzymią i tak wymowną antologię, dotyczącą tego niewinnego i brzydzącego się cudzą krzywdą ludu, że głosy polskie stanowiłyby dla niej bardzo cichutki akompaniament. Każdy naród ma, a przynajmniej głosi to przekonanie, że on jest szczególnie łatwowiernym, dobrodusznym, szczerym i czułym. Jeżeli ten jagnięcy liryzm dziwnie brzmi w ustach wielu, to chyba najdziwniej w ustach starych wilków, które karmią się jagniętami. Prusak, zapewniający o swojej *Gemüthlichkeit* i *Gutherzigkeit*, jest czemś tak cyrkowo-zabawnem, że można mu za ten koncept zapłacić szczerym oklaskiem.

Trzeci grzyb.

Dawne to spostrzeżenie, że lubimy tłoczyć się na utartych drogach, zamiast two-

---

nictwo z Orleanami i Dumouriezem, spólnictwo z Fabre d'Eglantinem i wrogami Rzeczypospolitej." Dekret, 11-go Germinala (1 kwietnia), który obejmował to oskarżenie, został przyjęty przez Konwencyę „jednogłośnie—stwierdza *Moniteur*— i wśród najżywszych oklasków." po dwu mowach: Robespierre'a i Saint-Justa."

„Czem — rzekł Robespierre — różni się Danton od swego kolegi Chabota? Należy wiedzieć, czy interes kilku ambitnych hipokrytów winien przemódz interesy narodu francuskiego? Obawiają się, żeby nie uciskano więźniów: nie mają przeto zaufania do sprawiedliwości narodowej... Zresztą, nawiązane rozprawy są niebezpieczeństwem dla ojczyzny; one są już karygodnym zamachem na wolność. Liczba winnych nie jest taką wielką."

I Saint-Just:

„Wasze komitety zleciły mi, abym żądał sprawiedliwości przeciwko ludziom, spiskującym w tej chwili z królami, sprzymierzonymi przeciwko Republice. Tylko co wymieniłem ostatnich stronników królowskości. Nie dziwcie się upadkowi tylu zdrajców... Dantonie, służyłeś tyranii! Umiałeś stłumić zaciekłość patryotów! Wystawiłeś nasze nieszczęścia, jako wynik słabości naszej armii i odwracałeś uwagę od wiarołomstwa generałów dla dalszego zwoływania pospolitego ruszenia. Wróciwszy z Belgii, zwołałeś pospolite ruszenie patryotów Paryża w celu skierowania ich ku granicom. Gdyby było doszło do skutku podówczas, ktoby się był oparł arystokracyi, która kilkakrotnie usiłowała powstać? Starałeś się zniepra wić moralność publiczną; oświadczyłeś się za zasadami umiarkowania; godziłeś się ze wszystkiem. Nie jesteś występnym, żeś nie nienawidził wrogów ojczyzny? Czy niewinny mówi o swej obronie?"

Ktoby się dziwił, że te straszne bzdurstwa wywołały jednomyślne okrzyki uznania, nie znalby abecadła psychologii zgromadzeń i tłumów w epokach rewolucyjnych.

III.

Rozkaz zaaresztowania Dantonistów doręczono nazajutrz, 12 Germinala (2 kwietnia) „obywatelom: prezesowi i sędziom trybunału." Trybunał z miejsca nakazał wykonanie „po wysłuchaniu oskarżyciela publicznego, zaznaczywszy jego czujność." Nocą już, Danton, Kamil Desmoulins, Lacroix i Philippeaux, po przesłuchaniu dla formy tylko, przeniesieni zostali do Conciergerie. Przesłuchanie Dantona obejmuje osiem wierszy:

P. Czy spiskował przeciwko narodowi francuskiemu, pragnąc zaprowadzić monarchię, zburzyć przedstawicielstwo narodowe i rząd republikański?

O. Byłem zawsze republikaninem, nawet za czasów tyranii i umrę nim.

P. Czy ma obrońcę?

O. Wystarczam sam sobie.

„Konwencya, rzekł Couthon, postępuje jak armie—krokiem szarży."

Śledztwo istotnie przeprowadzono z góry; było zupełnie gotowe. „Musimy podzielić się śledztwem"—pisał Herman do Fouquiera i w pośpiechu skracał wyrazy: „z mocy prawa należy ono do oskarż. publicznego." Zwłaszcza co do Dantona, było ono stekiem bezimiennych denuncyacyj, głupich zmyśleń, śmiesznych potwarzy. Przedewszystkiem—dział oskarżeń publicznych: spiskował ze wszystkimi wrogami wolności, z Mirabeau, Orleanami, Lafayettem, sprzedał się im, a następnie Pittowi i Coburgowi, nie znał ojczyzny, trzymał się na uboczu 10 go sierpnia, spiskował z Dumouriezem w celu wydania Francyi koalicyi, był uczestnikiem jego zdrady, spiskował wreszcie dla ocalenia Ludwika XVI, gdy tenże wstępował na rusztowanie, porwania królowej i ogłoszenia królem delfina. Następnie dział oskarżeń potwornych: sprzedajność, zdzierstwo, fałsz i kradzież; ile twierdzeń, tyle faktów zmyślonych.

„Lacroix i Danton, mówi nota niepodpisana, posłali do Francyi, podczas pobytu w Brukseli, wóz naładowany bielizną, należącą do rządczyni Niderlandów, kosztu-

rzyć nowo. Do niedawna istniały u nas dwa salony sztuki: Towarzystwa zachęty i Krywulta. Oba dzieliły się skromną produkcyą artystyczną i nie bardzo raziły pustką. Lecz koło malarzów, widocznie z ich gospodarki niezadowolone, utworzyło własną spółkę i otworzyło własny salon. Wyglądało to na secesyę, pomiędzy inicyatorami znalazło się dosyć nazwisk młodych, można więc było się spodziewać, że sztuka wreszcie znalazła u nas cieplarnię, w której będzie mogła hodować swe najświeższe i najwonniejsze kwiaty. Tymczasem oczekiwania zawiodły. Być może artystom przydała się spółka pod względem materyalnym, zbierając obstalunki dla stowarzyszonych, myśmy jednak nic na tem nie skorzystali: Salon Artystyczny świeci pustką jeszcze gorszą, niż dwa poprzednie. Teraz donoszą pisma, że od stowarzyszenia oddzieliła się znów grupa artystów (ciekawe, z ilu osób złożona) i wystąpiła z podaniem do władzy o zatwierdzenie ustawy nowego Towarzystwa artystycznego. Przybędzie więc nam zapewne nowy salon. Nie wchodzimy w to, czy tę drugą secesyę wywołały względy natury prywatnej, czy też jest ona jeszcze jednym dowodem nowego niedołęstwa w działalności zrzeszonej; radzibyśmy tylko wiedzieć, skąd się weźmie materyał na zapełnienie tego czwartego salonu, kiedy już w trzech pierwszych bieda aż piszczy?

Zaściankowość przemysłu.

Śledząc bacznie zjawiska naszego życia ekonomicznego, spostrzegamy w niektórych grupach charakterystyczną pierwotność w traktowaniu stosunków po za granicami własnych warsztatów lub przedsiębiorstw. Wytwórca wie tylko i pamięta o swojej okolicy, o rynku niezbyt odległym, nie interesuje się przebiegiem życia ekonomicznego na świecie i nie czuje, że powinien być chociaż drobnem ogniwkiem w powszechnym łańcuchu wytwórczości i wymiany. Tymczasem to ogniwo, pozostawione na uboczu, w ukryciu, rdzewieje i kruszy się powoli, a właściciel jego stęka i nie umie znaleźć przyczyny. Gdy młynarz zaczyna tracić powodzenie, gdy ceny mąki spadają i nikt jego towaru nie chce kupować — narzeka tylko na ciężkie czasy i nie przypuszcza, że przyczyną niepowodzenia jest przepełnienie rynków krajowych obcym produktem, że chcąc osłabić siłę niebezpiecznego współzawodnika, trzeba zbadać taryfy i wyjednać w nich zmianę, wprowadzić udoskonalenia techniczne, któreby zniżyły koszt produkcyi, wreszcie starać się o ułatwienie wywozu za granicę i podbicie rynków obcych. Większość naszych młynarzy przed paru laty dała dowód takiej właśnie zaściankowości pierwotnej, kiedy zwołano powszechny zjazd młynarski w Petersburgu. Nie postarano się nawet o dobrych przedstawicieli i wysłano nie młynarzy, lecz handlarzy zbożowo-mącznych, których interesy sprzeczne są z interesami pierwszych. Obecnie na zjeździe okręgowym w Warszawie ta sama większość dała nowy dowód swej zaściankowości i prostoty ducha. Na wiec ten bowiem przybyło z całego kraju zaledwie 18 uczestników. Radzili też jak mogli i mając na stole prezydyalnym 7 punktów, uchwalili we wzorowym porządku na temat zadany następujące wnioski: Starać się o rozróżnianie taryf zbożowych w ziarnie od mącznych, zgodnie z memoryałem rady młynarskiej złożonym w maju r. b. Stworzyć faktyczną giełdę produktową, szczególnie zaś zbożową i mączną, któraby posiadała swoich specyalnych maklerów przysięgłych, komisyę biegłych i wszystkie urządzenia, niezbędne do tego handlu; uregulować typy mąki i utworzyć jednolitą ich nomenklaturę. Zobowiązać zarządy kolejowe, ażeby w sprawach, wynikających często przy transportach, powoływały się na biegłych giełdowych; tam zaś, gdzie niema giełd — na młynarzy specyalistów. Ponieważ utrudnione jest obecnie wykształcenie techniczne średnie, więc zjazd popiera wyrażone już przez radę młynarską życzenie założenia w Warszawie szkoły młynarskiej średniej, dla której należy wyjednać z budżetu ogólnego zasiłek w kwocie 2,000 rb. rocznie. Starać się, ażeby przywilej uznania przemysłu młynarskiego za nieulegający przerwie, zapewniony mu do końca r. 1898, był nadal utrzymany. Co do wzajemnego Towarzystwa ubezpieczenia młynów, zjazd uważa za niewłaściwą i trudną do urzeczywistnienia taką organizacyę powszechną, ze względu na różnorodny charakter tego przemysłu w osobnych okręgach państwa; natomiast uznał za wysoce pożądane zawiązanie oddzielnych kółek asekuracyjnych, na wzór rolniczych. Dla gruntownego zbadania tej sprawy, należałoby zebrać wyczerpujący materyał statystyczny. Szósty punkt, o udziale w wystawie paryskiej, uznano za podrzędny. Zjazd przyszedł do przekonania, że skoro niema miejsca na osobny pawilon młynarstwa, popis młynarzy w jakimś ogólnym dziale niema racyi bytu. Jest to także niezrozumienie własnych interesów. Wystawa taka, to przecież droga do wyrobienia rynków. Jedna tylko może być poważna przeszkoda i jeden skrupuł: to, że zbyt słaby przemysł młynarski Królestwa Polskiego nie ma czego wystawiać. Młynarze nasi tak są skromni, że nawet w dalekiej przyszłości uważają za niemożliwy udział na rynkach wszechświatowych. To jest także jeden ze znamiennych rysów zaściankowości, która każe im wspólnie się naradzać tylko dla formy i ze względu na wymagania, narzucone przez ogólną organizacyę zjazdów okręgowych.

BADANIA NAUKOWE.

PSYCHOLOGIA.

E. B. Titchener: *An Otline of Psychology* New-York, 1897.



Obserwacya wewnętrzna stanowi główne źródło naszej wiedzy psychologicznej. To też psychologia opisowa, zarówno jak i teoretyczna odwołują się do niej ustawicznie; pierwsza, chcąc ułatwić poznanie faktów opisywanych, druga — uzasadnić swe wywody filozoficzne i ich założenia. Że takie odwoływanie się nie na wiele się przydaje, łatwo zrozumieć, gdy zważymy, że obserwacya wewnętrzna zamknięta jest ściśle w granicach indywidualnego doświadczenia. Wszelkie stany świadomości, leżące po za granicami owego doświadczenia, są dla niej zgoła niedostępne. Nie dość tego. Obserwacya wewnętrzna podlega licznym złudzeniom. Najważniejszem z nich jest to, że każdy stan świadomości, każda sprawa duchowa przedstawia się jej jako całość niepodzielna i samoistna. Wszystko, co podpada jej postrzeganiu, ujmuje

---

jącą znaczne sumy, około 2 do 3 kroć stu tysięcy liwrów." Danton i Lacroix zresztą dowiedzieli się o tem oskarżeniu dopiero przed Trybunałem Rewolucyjnym. Lacroix udowodni przed nim bez trudności, że zakupił w Belgii bieliznę stołową za 600 liwrów, Danton zaś, że na wozie tym, podług protokółu urzędowego, miał tylko „łachy i gorset bojowy." Tymczasem jednak ta kradzież bielizny arcyksiężniczki przejdzie w legendę. Kradzież była oskarżeniem monotonnem Robespierre'a rozpaczliwie, jednostajnie powtarzającej się przeciwko wszystkim jego przeciwnikom. Posługiwał się nią przeciwko Hébertowi; była dobrą przeciwko Dantonowi; w przededniu Thermidora skieruje ją także przeciwko Cambonowi.

Myślą procesu tak dalece było przedstawienie Dantonistów jako złodziejów i spólników „zagranicy," że Fouquier, z rozkazu Robespierre'a, zebrał w jedną kupę ludzi oskarżonych o fałsz publiczny: dwu Żydów austryackich, adwokata duńskiego i jednego Hiszpana. W ten sposób na ławie oskarżonych widziano Delaunaya przy boku Dantona, kapucyna Chabota przy Lacroix, i księdza Sahuget d'Espagnaca, oszusta najniższego rzędu—między Philippeaux i Kamilem Desmoulins. Proces w dzienniku Trybunału Rewolucyjnego figuruje jako „Sprawa Chabota i spólników." Co do przysięgłych, zamiast wylosowania ich, jak chciało mieć prawo, prezes Herman i Fouquier-Tinville wybrali ich z pomiędzy *solidnych*. Byli nimi mianowicie: fabrykant lutni Renaudin, którego naprożno wyłączał Kamil, jako swego wroga osobistego, chirurg Souberbielle, markiz Leroy de Mont-Flobert, przezwany *„10 Sierpnia,"* głuchy do tego stopnia, że nie słyszał piorunów Dantona, malarz Topino-Lebrun i twardy szewczyk Trinchard. Można dowoli przebierać przysięgłych: nawet pod okiem takiego, jak Fouquier oskarżyciela, najczęściej powstają w nich zachcianki niezależności; sumienie ich nie odrazu się daje stłumić. Z drugiej strony pisarzem sądu był jeden z przyjaciół Dantona; nazywał się Mikołaj-Józef Paris, przezywał się zaś Fabrycyuszem. Zeznanie jego przed drugim Trybunałem Rewolucyjnym w procesie Fouquiera jest jedną z głównych podstaw niniejszej historyi.

IV.

Złożywszy przysięgę, że sądzić będą „bez nienawiści, bez złośliwości i bez obawy," przysięgli wysłuchali aktu oskarżenia (13 germinala, 3 kwietnia) Był to raport Amara, powtórzenie tego, co onegdaj, na posiedzeniu Konwencyi, odczytał był Sant-Just. Fouquier zaledwie do tego dodał kilka stronic. Oskarżonych zapytano uprzednio o ich imię, nazwisko, wiek, powołanie i miejsce zamieszkania. Danton zapytany o ostatnie, odpowiedział pierwotnie: „wkrótce—nicość i imię moje w Panteonie," następnie dodał z większą prostotą: „Jerzy-Jakób Danton, lat 31, urodzony w Arcis-sur-Aube, deputowany do Konwencyi, zamieszkały w Paryżu, przy ulicy Kordelierów."

Gdy pisarz odczytał akt oskarżenia, obwinieni zażądali od Trybunału przywołania szesnastu członków Konwencyi, których listę dostarczyli. Danton nadto zażądał „aby Trybunał napisał do Konwencyi, żeby wyznaczyła komisyę dla przyjęcia jego, Kamila Desmoulins i Philippeaux, oskarżenia przeciwko systematowi dyktatury, którą wykonywał Komitet Ocalenia Publicznego. Trybunał odrzucił oba żądania.

Najsławniejszy z panegirystów Robespierre'a pisze o tej odmowie: „Dopuszczenie wskazanych świadków oparte było najściślej na prawie, kto zaś stawia ponad sprawiedliwość *racyę stanu*, znajduje się na pochyłości, z której stacza się ku wszelkim zbrodniom. Z tej pochyłości stoczył się sromotnie Fouquier-Tinville, gdy jako organ służalczy myśli, o której później twierdził, iż nie była jego własną, przeciwstawiał żądaniom namiętnym, ale prawowitym, oskarżonych, tę wzbudzającą politowanie odmowę: „Oskarżenie przeciwko

ona w syntetycznej jedności i do analitycznych rozróżnień jest zgoła niezdolną. Najpierwszem więc zadaniem psychologii powinno być rozszerzenie zakresu obserwacyi wewnętrznej i zabezpieczenie jej od błędów, z samej jej natury wynikających. Zadaniu temu czyni się zadość przez obmyślenie sposobów, za pomocą których można wywoływać w świadomości każdego różne zmiany, jakie są konieczne dla poznania pewnego faktu psychicznego zarówno w jego całości, jak i w składowych jego czynnikach. Do takich sposobów należą warunki zewnętrznego doświadczenia — w pierwszym rzędzie naturalne, w drugim — sztuczne. Na tych ostatnich musi psychologia przeważnie poprzestawać, gdyż władza jej nad naturalnymi jest zbyt ograniczona. Wskazując, w jakich warunkach doświadczenia wewnętrznego następują takie lub inne zmiany świadomości, dozwala nam ona sprawdzać na samych sobie każdy fakt przez nią podany. Zadania takiego podjęła się psychologia, znana pod imieniem doświadczalnej albo nowożytnej.

Psychologia doświadczalna ma wiele wspólnego z fizyologiczną; różni się zaś od niej tem, że głównie chodzi jej o fakty doświadczenia wewnętrznego i dlatego nie zajmuje się sprawami fizyologicznemi, jakkolwiek uwzględnia je o tyle, o ile to jest koniecznem dla wyrozumienia zjawisk psychicznych; a nareszcie posługuje się w swych doświadczeniach środkami, przystępnymi dla każdego i niewymagającymi wielkich kosztów, kiedy tymczasem doświadczenia psycho-fizyologiczne mogą się dokonywać tylko w laboratoryum, zaopatrzonem w zbyt skomplikowane i kosztowne przyrządy.

Jednym z wybitniejszych przedstawicieli psychologii doświadczalnej jest właśnie autor pracy, wymienionej w nagłówku niniejszego sprawozdania. Będąc profesorem uniwersytetu w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, oparł on swe dzieło na podstawie praktyki, nabytej w swym zawodzie. Jest też ono wybornym przewodnikiem dla początkujących, dla których najważniejszą rzecz stanowi poznanie faktów psychicznych i metody ich badania. Niemniej potrzebnem jest i dla nauczycieli psychologii, dostarczając im cennych wskazówek, z których mogą korzystać w swych wykładach. Wszystkie metody doświadczalne, podane przez autora w celu sprawdzenia różnorodnych faktów psychicznych, sam on wypróbował na sobie i na innych. Mając dokładne ich opisanie, każdy może je powtórzyć z łatwością.

Książka obejmuje zaledwie 350 stronic. W tym zakresie jednak autor umiał skupić tyle materyału naukowego, że z niego łatwo można wyrobić sobie jasne pojęcie o zagadnieniach psychologicznych i o właściwej drodze ich badania. Wskutek niezwykłej ścisłości wykładu, w którym niema ani jednego wyrazu zbytecznego, dzieło jest suche czytanie go musi być rozłożonem na dłuższy przeciąg czasu nawet w takim razie, gdyby ktoś nie mógł się zdobyć na cierpliwość, ażeby sprawdzić samemu skuteczność metod, zalecanych przez autora.

Plan jest analityczny. Rozpoczyna rzecz swą autor od zbadania najprostszych pierwiastków życia umysłowego, o ile one dają się poznać w okresie dojrzałości, i przechodzi po kolei do czynników coraz bardziej złożonych, wykazując ich kształtowanie się na podstawie praw, rządzących pierwiastkami psychicznymi i ich ugrupowaniem się. W ten sposób pierwsza część poświęcona jest zbadaniu czuć zmysłowych i takichże uczuć, oraz ruchów i uwagi; druga rozważa postrzeżenia i wyobrażenia, kojarzenie wyobrażeń, wzruszenia, a nareszcie ruchy dowolne i wogóle działanie. Trzecia część zajmuje się: rozpoznawaniem, pamięcią i wyobraźnią tak bierną, jak i czynną (fantazyą), samowiedzą i myśleniem (tworzeniem pojęć, sądów i rozumowań), uczuciami idealnemi i syntezą oddziaływania, czyli kojarzeniem ruchów w celu oddziaływania na czynniki zewnętrzne.

Dla scharakteryzowania stanowiska autora dość będzie przytoczyć główniejsze wyniki, do jakich doszedł drogą doświadczenia.

Za pomocą dowcipnie obmyślanej metody dowodzi on, że umysł ludzki zdolnym jest rozróżnić 42,000 czuć zmysłowych. Najczulszem na różnice wrażeń jest oko, które odczuwa 30,850 odcieni barw i światła; po niem idzie ucho, które odróżnia 11,550 dźwięków i szumów. Naturalnie że nie każdy umysł posiada tak wysoką wrażliwość i średnio można przyjąć, że ilość pierwiastków świadomości, z których powstają nasze wyobrażenia w zwykłych warunkach, nie sięga wyżej po nad liczbę 10,000.

Między uwagą bierną a czynną upatruje on różnicę w tem, że pierwsza zajęta jest jednem tylko wrażeniem lub wyobrażeniem, tymczasem druga ma do czynienia z kilkoma, wybierając z nich jedno.

Uczucia zmysłowe, które pozornie zdają się być zjawiskiem prostem, uważa on za złożone. Właściwem ich tłem jest stan świadomości przyjemny lub nieprzyjemny, zależny od wewnętrznych spraw układu nerwowego i stanowiący pierwiastek czysto podmiotowy. Drugim ich czynnikiem składowym są czucia zmysłowe, które mają charakter przedmiotowy. Dowód tego widzi on w tem, że im częściej doznajemy jakiegoś czucia zmysłowego, tem staje się ono wyraźniejszem i dokładniejszem, kiedy tymczasem towarzysząca im przykrość lub przyjemność zanika powoli i przechodzi w obojętność.

Kojarzenie wyobrażeń sprowadza autor do dwu głównych praw; są niemi: kojarzenia współczesne i następcze. Przyjmuje nadto prawa pochodne, między któremi kojarzenie rozłączne odgrywa ważną rolę, stanowiąc podstawę sądów i rozumowań.

Woli nie uznaje on za oddzielny pierwiastek świadomości, za trzecią jej stronę, równoważną pierwiastkowi umysłowemu i uczuciowemu — lecz uważa ją za objaw złożony z wyobrażeń i uczuć, oraz z odruchów, rozmaicie skojarzonych i towarzyszących im czuć mięśniowych. Do takiego zapatrywania na istotę woli doprowadza go bardzo proste, ale przekonywające doświadczenie, które każdy może sprawdzić na samym sobie.

W zakresie dzieła zastanawia się pokrótce nad kwestyą stosunku duszy do ciała i rozstrzyga ją w duchu teoryi monistycznej, podług której dusza i ciało są abstrakcyami, oznaczającemi różne objawy bytu, nieznanego nam co do swej istoty. Badania, dotyczące istoty owego bytu, stanowią zadanie metafizyki i nie mają nic wspólnego z psychologią doświadczalną.

Władysław Kozłowski.
(*Lwów*).

---

wam wyszło z Konwencyi, jako ciała zbiorowego, żaden przeto z jej członków nie może wam służyć za świadka usprawiedliwiającego."

Danton był badany d. 14 go germinala—siódmy z rzędu. Na początku posiedzenia, podczas krótkiej przerwy wywołanej zajściem proceduralnem, odezwał się do Kamila: „Było tylko mnie dopuszczono do słowa i to w szerokiem znaczeniu tego wyrazu, pewny jestem, że pokonam mych oskarżycieli; i jeśli naród francuski jest tem, czem być powinien, będę musiał błagać dla nich łaski." Następnie zwracając się do Cambona, którego spostrzegł między świadkami, zawołał: „Czy wierzysz, żeśmy spiskowcy?... Patrzcie, śmieje się; nie wierzy temu... Zapiszcie, że się rozśmiał."

Bez względu na falszowanie sprawozdania przez Coffinhala, dzięki notatkom spisywanym na posiedzeniu przez przysięgłego Topino, znamy prawie dokładnie tę straszną obronę, pełną słów bohaterskich, bardziej szekspirowską z mów sądowych: „Mój głos, który tyle razy rozbrzmiewał w sprawie ludu, w obronie i poparciu jego interesów, z łatwością odtrąci potwarz... Macie przed sobą mą głowę, odpowiada ona za wszystko! Życie mi jest ciężarem, pilno mi się od niego uwolnić... Czyż od takiego jak ja rewolucyonisty należy się spodziewać odpowiedzi zimnej? Ja—zaprzedany? Ludzi takiego jak ja odlewu opłacić nie można; na czole ich niezatartymi znakami odbita jest pieczęć wolności, geniusz republikański! Poniżę się więc do usprawiedliwiania siebie. Ja—stronnikiem rojalistów i królewskości!... Oskarżony taki jak ja, znający ludzi i rzeczy, odpowiada przed przysięgłymi, ale nie mówi do nich; bronię się, ale nie spotwarzam nikogo... Nigdy ambicya, ani chciwość nie miały nade mną władzy; nigdy te namiętności nie zdołały mnie skłonić do narażenia sprawy publicznej. Należę cały do mej ojczyzny, złożyłem jej we wspaniałomyślnej ofierze istnienie moje!"

Herman przerwał mu słowami: „Dantonie, zuchwalstwo jest właściwością zbrodni, spokój cechuje niewinność."

Krzykami wściekłości pokonywając infamię oskarżenia, górował nad dzwonkiem przewodniczącego, Hermana, wprawionym w ruch desperacko. „Czy nie słyszysz mego dzwonka?" piszczał Herman. „Człowiek, broniący swego życia i honoru—ryknął Danton—drwi z dzwonka i wyje." Przez otwarte okna trybunału rewolucyjnego głos olbrzyma dosięgał aż drugiej strony Sekwany, do Quai de la Feraille.

Herman udał, że głos ten, który większa część audytoryum i tłum, otaczający mury Pałacu Sprawiedliwości, pokrywały oklaskami, wydaje mu się „zmienionym": „Zmęczony jesteś, Dantonie, ustąp głosu innemu, przywrócę ci go po pewnym wypoczynku." Redaktor *Dyaryusza* stwierdza ten fałsz: „Tę przykrość sytuacyi — pisze — odczuwali wszyscy sędziowie, którzy też zaproponowali mu zawieszenie usprawiedliwiania się dla podjęcia go z większym chłodem i spokojem." Pisarz trybunału, Paris, w zeznaniu swem, złożonem w procesie Fouquier-Tinville'a nadmienia, że „Danton ustąpił głosu dopiero wtedy, gdy przewodniczący przyrzekł, że mu go da ponownie nazajutrz dla odparcia innych punktów oskarżenia, dla których nie pozostawiono mu czasu na tem posiedzeniu. Żeby z nim skończyć, zawieszono je zupełnie."

Na kilka chwil przedtem, Herman nabazgrał pod adresem Fouquiera karteczkę: „Za pół godziny przerwę obronę Dantona; trzeba będzie przedsięwziąć pewne środki." Fouquier odpisał: „Trzeba przeć naprzód..."

(C. d. n.)



DZIEJE WYSIŁKU FIZYCZNEGO.

Cokolwiek mówionoby nam o dobrodziejstwach pracy i jakiekolwiek prawnionoby morały na ten temat, każdy szerszy umysł, nie zarażony obłudą, przyzna, iż jako przekleństwo spoczywa ona na rodzie ludzkim od początków jego istnienia i w ciągu wszystkich epok rozwoju dziejowego.

Ciężar ten, przygniatający barki milionów w przeszłości i teraźniejszości, w całej pełni staje przede mną w chwili obecnej.

Siedzę na urwisku pod Wolicą. Przede mną rozległy widok gładkiej jak stół równiny, sięgającej hen daleko aż po brzegi Wisły. Słońce czerwcowe dogrzewa rozżarzonym płomieniem, nawet najlżejszy podmuch wiatru nie zaszeleści liśćmi drzew, powietrze przesycone wilgocią obezwładnia i mięśnie i wolę i podważa mozolność wysiłku fizycznego. Dzień ma się ku południowi. Wśród zagonów z warzywem, na łąkach, w polach widać schylone karki wieśniaków: pielą, grabią, okopują. Ze świtem byli oni już na nogach i gdy zmierzchnie się, będą może jeszcze przy pracy. Taki wysiłek nadmierny trwa z dnia na dzień w ciągu wielu tygodni, nagromadzone zmęczenie przejmuje wszystkie członki, myśl wszelka zamiera, jak rzeka ścięta lodem. Człowiek, wróciwszy z pola, czuje jedno tylko łaknienie: rozciągnąć się jak kłoda i dać mięśniom możność wywczasowania się. W organizmie pozostają instynkty wegetacyjne, te zaś, które powstały w okresie późniejszym, jako dorobek kulturalny, zagłuszone milczą.

Trzeba było wieków, ażeby organizm człowieka przyzwyczaił się do takiej systematycznej a jednocześnie bezmyślnej pracy — bezmyślnej w tem znaczeniu, iż prócz konieczności nie ma tam żadnej innej pobudki: ani zadowolenia wewnętrznego, ani nawet żądła ambicyi. Istota ludzka wdrażała się w takie jarzmo pod działaniem czynników, które co do natury swojej są pokrewne doborowi, stosowanemu przez nas na folwarku względem inwentarza. Wolny rumak, zrodzony wśród niezmierzonych przestworów stepu i przyzwyczajony do harców na jego obszarze, tak samo nieokiełznany byk, dumnie potrząsający rogami w gromadzie i w potrzebie umiejący poradzić sobie z każdym śmiałkiem, któryby odważył się zajść mu drogę; lękliwa, zwinna i rącza owca zostały zamknięte w ciasnej oborze i nawet niektóre zaprzężone do nieustającej a systematycznej i z ich punktu widzenia jak najbezmyślniejszej pracy. W ciągu całych wieków naturę ich łamano i wykoszlawiano, krnąbrne okazy ginęły w tej niewoli ze swem możliwem, podobnież niesfornem potomstwem, pozostawały coraz bardziej cywilizowane, tj. coraz uleglejsze i podatniejsze, coraz mniej czujące gwałt, zadawany ich instynktom.

I z człowiekiem było tak samo. Ażeby nabył uzdolnień do pracy prawidłowej, trzeba było tysiącoleci.

Cała różnica, iż nie zawsze posługiwano się jawnym przymusem, iż prócz niewolnictwa i pańszczyzny, przerabiających przyrodzonie człowieka na modłę stworzenia pracującego, działały w pewnych epokach wpływy ukryte, zawarte w swobodnej grze współzawodnictwa, iż wreszcie istota ludzka, znaglona koniecznością przyrodzoną i społeczną, tam gdzie nie było przymusu, wynajdowała fortele i narkotyki, uszczuplające zmęczenia, a raczej usuwające świadomość o niem.

Zdolność do napiętego a systematycznego wysiłku nerwów stanowi niewątpliwie najprzedniejszy dorobek rozwoju kulturalnego. W szeregu artykułów zamierzamy przyjrzeć się pasmu wpływów, dzięki którym nabył człowiek tego tak cennego przymiotu.

I.

Dla uwydatnienia kierunku oraz dróg, któremi szedł rozwój dziejowy, wdrażający człowieka do systematycznego łożenia wysiłków, użyliśmy wzorów, zaczerpniętych ze świata zwierzęcego.

Koń dziki a roboczy, byk wolny a chodzący w pługu, wreszcie daleki nasz przodek, nieznający jeszcze osiadłego trybu życia a członek naszej cywilizacyi, utrzymujący się ze sprzedaży swej siły roboczej, fizycznej lub umysłowej, to przedstawiciele dwóch odmiennych formacyj dziejowych, tak odmiennych, że przeciwieństwo, istniejące pomiędzy niemi, odrazu rzuca się w oczy, ktokolwiek miał możność przypatrzenia się tej stronie stosunków. Nie znaczy to bynajmniej, ażeby tylko okazy, należące do okresu cywilizacyjnego, umiały pracować. Każdy czyn nasz polega na wysiłku mięśni, tem bardziej zaś szukanie pokarmu przez naszych pra-przodków. Cała rzecz, że w epoce dzikości nadaremnie poszukiwalibyśmy w pracy pierwiastku systematyczności i nadewszystko bezmyślności. Jak dla kozła skalnego przesadzanie urwisk, przy poszukiwaniu pożywienia, jest swobodnem ćwiczeniem energii organizmu, tak samo i działalność człowieka w okresie pierwotnym nie zna nad sobą żadnego przymusu społecznego. Cel jej jest tak blizki, tak zrozumiały, a nadto praca sama, co do swojej ciągłości, tak jeszcze założna od wolnej woli pracującego, iż owa bezmyślność, która towarzyszy rozbijaniu kamieni na szosie lub grze zawalonego lekcyami muzyka, jest zupełnie lub prawie zupełnie nieobecna. Człowiek pracuje, świadom, iż spożyje owoce swojej zapobiegliwości i w swej skrzętności ma na oku jutro bezpośrednie, tj. bezpośrednie spożycie. Wielką zasadą jego postępków jest hasło Don Juana w poemacie Byrona: *Carpe diem!* — tj. żyj chwilą bieżącą, korzystaj z każdej sposobności, bo dzień jutrzejszy może nie będzie do ciebie należał. Odkładanie zapasów na przyszłość, gromadzenie mienia dla potomków, odmawianie sobie w czemkolwiek w imię oszczędności, są to wszystko rzeczy nieznane jeszcze na szczeblu dzikości.

Filozofię życia codziennego i jego zadań, właściwą wcześniejszym okresom kultury, przewybornie streszczają rozmowy Karaibów, zapisane w w. XVI przez Rocheforta.

„Kmotrze — tak ubolewa jeden z przedstawicieli tego szczepu nad Europejczykiem — jesteś bardzo nieszczęśliwy, bo narażasz siebie na zbyt dalekie i niebezpieczne podróże... Namiętność posiadania bogactw skłania cię do tych mozołów i obdarza troskami: kłopoczesz się nietylko o to, co posiadasz, ale i o to, czego poszukujesz. Lękasz się nieustannie, ażeby nie okradziono cię na lądzie lub morzu, ażeby ocean nie pochłonął, podczas rozbicia okrętu, twoich towarów. Starzejesz się przedwcześnie; włosy twoje siwieją, czoło pokrywa się zmarszczkami i tysiąc trosk gnieździ się w twojem sercu. Wielkimi krokami zbliżasz się do grobu! Dlaczego nie poprzestajesz na tem, co twój kraj wytwarza? Czemu nie pogardzasz bogactwem, jak my to czynimy? Czy mienie twoje ocali ciebie od śmierci? Czy zabierzesz je z sobą do grobu?"

I jaką jest filozofia życia, taką jest także praca. Musi ona posiadać sens jakiś; gdy zaś taki związek pomiędzy działalnością mięśni a natychmiastowem zaspokojeniem potrzeby znika, to ginie i wszelka pobudka do zapobiegliwości, z nią zaś zdolność łożenia wysiłków. Naturalnie człowiek, który wyrósł w takiem otoczeniu, nie nadaje się do pracy, jakiej od niego Europejczycy mogą wymagać, ani jego postępowanie nie odpowiada naszej skali żądań. Narzekania na jego „lenistwo" — „wrodzone!" — spotykamy bardzo często na stronicach prac etnograficznych.

„Buszman raczej ściągnie mocniej rzemyk na brzuchu i prześpi głód, niż weźmie się do pracy."

„Kimbundowie raczej nie będą jedli w ciągu dwu dni z rzędu, aniżeli przystaną na pracę w polu przez dwie godziny bez przerwy."

„Zajęcia Indyan są raczej zabawą, bez której życie byłoby nieznośnem, niż pracą. Spędzają dni swoje w takiem próżniactwie, iż ujrzawszy ich w polu, gotowibyśmy mniemać, że nudy, nie zaś świadomy cel zniewoliły ich do roboty."

Takie postępowanie przypisują powszechnie wstrętowi człowieka pierwotnego do wszelkiego wysiłku. Jest to błąd; przedstawiciele niższych szczebli kultury cofają się tylko przed taką skrzętnością, do jakiej cywilizacya nowoczesna nas przyuczyła. Żyją oni nie po to, ażeby pracować i w nieustającej zapobiegliwości widzieć cel życia, lecz pracują, ażeby żyć.

Kilka przykładów najlepiej wyjaśni ten stosunek dzikiego i nawet barbarzyńcy do postulatów kapitalizmu europejskiego.

„Tubylcy N. Holandyi są niezdolni do stałej, systematycznej pracy, za którą wynagrodzenie otrzymaliby dopiero w przyszłości. Natomiast umieją wywiązać się z zadań, jeśli za nie czeka ich blizka nagroda. Po ukończeniu roboty i dostaniu zapłaty zaledwie głód zdoła ich zmusić do nowego wysiłku. Osadnicy, nawet gdy wynajmą ich na stałe, nie są pewni, jak długo będą w służbie. Podjadłszy do syta, dają folgę wrodzonym instynktom i zrzuciwszy ubiór cywilizowany, prowadzą w ciągu pewnego czasu koczowniczy tryb życia."

Keppel, co do mieszkańców wyspy Borneo, udziela Europejczykom przestrogi, że jeśli któryś pragnie korzystać w ciągu dni kilku z pomocy tuziemców, niech żadnemu z nich nie daje tytuniu, ani ryżu więcej, niż trzeba na dzień jeden. Wtedy będą regularnie uczęszczali do roboty. W przeciwnym razie nie zjawią się, póki wszystkiego nie przejedzą. Wogóle nie lubią oni rygoru i rzadko w tym samym obowiązku pozostają czas dłuższy, chociażby postępowano z nimi jak najlepiej.

Odwołaliśmy się do faktów, które w takich razach odznaczają się największą wymownością. Oskarżenie człowieka pierwotnego o lenistwo nie może być brane poważnie, i przytoczone powyżej przykłady, zaczerpnięte z opisów podróżniczych, raczej powinny być uważane za próbkę podmiotowości europejskiej. O wrodzonym wstręcie do wysiłku fizycznego chociażby dlatego nie można mówić, że mięśnie niećwiczone tak samo domagają się ruchu, jak zmęczone — odpoczynku. Człowiek pierwotny jest niezdolny tylko do takiego trybu zajść, jaki stanowi rys charakterystyczny naszej kultury. I on musi pracować, bo przyroda nie dostarczy pożywienia, jeśli będzie siedział z założonemi rękami. Nawet musi on dużo pracować! Powell, w chwili obecnej najlepszy znawca bytu czerwonoskórych, słusznie powiada: że „dzikiemu nie tyle zbywa na pracowitości, ile na umiejętności." „Są oni zdolni do wykonywania, często zaś faktycznie wykonywują wielkie a ciągłe roboty. Podczas cywilizacyi myśliwstwo i połów ryb uchodzą często za sport, ale w dzikości są one pracą, wymagającą wytrwałości, cierpliwości i przytomności umysłu." Barbarzyńca, który w ciągu paru dni jest wciąż na nogach polując, w to zajęcie wkłada całą duszę swoją, tak sa-

mo jak czynią to nasi myśliwi; nadto podnieca go ambicya, która chciwą jest sławy u rodaków. Zmęczone mięśnie mają możność wywczasowania się, gdyż nie pójdzie on znużony na polowanie — nie tak jak dzieje się u nas, gdzie organizm, acz niewypoczęty nie przestaje łożyć wysiłku, i zajęcie, zawierające w sobie pierwiastek przyjemności, przybiera skutkiem tego charakter odrażający. Przy wrzecionie mechanicznem istnieje automat, samodzielnie powstrzymujący obroty jego, gdy nitka zerwie się. Tak samo maszyna ludzka przestaje pracować, jeśli czuje, iż siły jej potrzebują spoczynku — zamiast przyrządu automatycznego wola jest sprężyną tamującą. Robotnik może całe tygodnie spędzać nad pewnem zajęciem, ale za to tygodniami także posiada możność odpoczywania, a wysiłek po długich wczasach w takich warunkach przedstawia podobne powaby, jak przeciąganie się po ocknięciu.

Ale i na najniższych szczeblach są zajęcia, zawierające w sobie pierwiastek przymusu mniej lub więcej systematycznego. Wzmagają się one w liczbie z nastaniem rolnictwa. Istota ludzka naówczas zaczyna stosować fortele, które winny odwrócić uwagę pracującego od bezmyślności wysiłku i zarazem wyzwolić w organizmie większą ilość energii. Posługuje się ona narkotykiem ruchu rytmicznego. K. Buecher pierwszy, w sposób naukowy, oświetlił tę stronę życia pierwotnego i nawet wykazał, iż rytmika i miara poezyi wzięły z niej początek.

L. Krzywicki.

DO CHARAKTERYSTYKI NASZEGO LUDU.

II.

Wieś nasza — a nie jest to cechą wyłącznie polską — do dziś jeszcze stanowi organizm w znacznym stopniu zamknięty w sobie, niedopuszczający do swego wnętrza żywiołów obcych. Należy to brać w dosłownem znaczeniu. Parobczak nadrabski trafia na opór, gdy chce pojąć dziewczynę z innej wsi, dziewczynie nie uśmiecha się także zamęźcie w „ogranicy." Ludzie postronni, przechodzący przez wieś, nie cieszą się również wielką ufnością. Zresztą w tym względzie we wsiach francuskich np. bywa często gorzej. Bądź co bądź, jako znamienny, przytoczę mały wyjątek z „Ludu nadrabskiego":

„Największy zastęp czarowników tworzą *wędrowni*, tak że się ustaliło zdanie między ludem nadrabskim, jakoby każdy wędrowny był czarownikiem. Boją się też mieszkańcy wchodzić z nimi w nieporozumienia, aby bądź im samym nie „uczynili," bądź ich zwierząt domowych nie „urzekli," bądź też szczurów nie wprowadzili do ich obejścia gospodarskiego. Szczególniejszą bowiem moc mają mieć wędrowni nad szczurami."

Dane te, dotyczące odrębności wiejskiej, rozproszone są na kilkunastu stronicach „Ludu nadrabskiego" i „Zwczajów i pojęć prawnych." Nie wyzyskał ich jednak w zupełności Świętek; sądzę, że niejedno dałoby się tu dozbierać, a obszerniejszą rozprawką o tem pytaniu wyświadczyłby autor nową i cenną przysługę naszemu ludoznawstwu. Zajęcie się tą kwestyą i na reszcie obszaru ziem polskich, wartoby zalecić zbieraczom rzeczy ludowych.

Dziś odrębność ta przeszła w stan szczątkowy, wyjaśnić ją zaś mogą czynniki historyczne i społeczno-ekonomiczne. Bądź co bądź, w znacznym stopniu z nią są związane inne jeszcze, godne uznania cechy ludu.

Mam na myśli solidarność włościan i raźność we wzajemnem niesieniu sobie pomocy.

„Wzajemna bezinteresowna pomoc sąsiadów w robotach polnych nie jest tradycyą tylko. Roszczą sobie do niej pretensye krewni, powinowaci, tudzież kumowie. Natomiast sąsiedzi śpieszą chętnie i bezinteresownie lub sąsiadowi, który się buduje, nawiedzony pogorzelą, walczy z niedostatkiem. Zwożą mu bez wynagrodzenia drzewo z lasu, dopomagają przy dźwiganiu ciężarów, a dla usunięcia śladów klęski, dostarczają mu słomy na poszycie strzechy bezpłatnie, wspierają zbożem na żywność i zasiew, pożyczają chętnie sprzętów i narzędzi rolniczych, w razie potrzeby żywią go nawet wraz z rodziną przez jakiś czas i utrzymują w swoim domu."

Solidarność idzie czasem bardzo daleko: „Wobec spełnienia zabójstwa w imię ogólnego dobra lud nietylko uniewinnia zupełnie zabójcę, ale owszem czyn jego uważa za bardzo piękny."

Świątek podaje w szczególności dzieje zabicia pewnego złodzieja, podpalacza i truciciela koni i bydła, imieniem Lajbusia.

„Kto jednak osłania lub ukrywa przestępcę, którego kary godny czyn uważa lud za niewinny lub dobry, ten pozyskuje uznanie włościan. I tak. Nadrabianie nie potępiliby człowieka, któryby ukrywał lub ochraniał zabójcę znanego złoczyńcy, lub któryby podczas dochodzenia nie wydał sprawy tajemnego zamachu na znienawidzonego przedstawiciela władzy austryackiej. Owszem, kto zdradzi podobnego przestępcę, wywołuje na siebie wielkie oburzenie wśród włościan i może być przygotowanym na zemstę. Wszyscy okazują mu swą pogardę, mijają go bez pozdrowienia i piętnują nazwą: Judasza, zdrajcy itp."

Cywilizacyjne pierwiastki wnikają do wsi nadrabskiej coraz liczniej. Wzrost oświaty i wstrzemięźliwości, a z jedną i drugą wzrost moralności są widoczne.

Już oddawna lud nadrabski uznawał potrzebę i pożytek nauki. Sprowadzał do wsi nauczyciela prywatnego i posyłał dość licznie swe dzieci do niego, zwłaszcza podczas miesięcy zimowych. Szkołą była zazwyczaj izdebka wynajmowana od jednego z gospodarzy przez gminę, a służyła ona także za mieszkanie dla nauczyciela.

Z takich szkółek byli Nadrabianie zupełnie zadowoleni; protestowali też przeciw wprowadzeniu publicznych z obawy wielkich na nie wydatków. Ale gdy je wreszcie otwarto, zniknęła powoli niechęć i dziś Nadrabianie nietylko przeciw nim nie sarkają, ale otaczają je zaufaniem, bez szemrania przyjmując powiększenie sił nauczycielskich i obowiązek rozszerzenia budynku szkolnego.

Karczmy utraciły swoje znaczenie.

Na człowieka, który przesiaduje w karczmie, patrzy lud przeważnie z niechęcią, a nawet z pewną pogardą.

Zmniejszenie pieniactwa, zmniejszenie oszustw, zmniejszenie kradzieży. „Dziś w celu obrony od złodziejów nie zawsze nawet zamykają gospodarze drzwi śpichlerzy i komór. Przed dwudziestu laty o wszystkich tych środkach bezpieczeństwa nietylko bezwzględnie pamiętano w każdym domu, ale nawet je podwajano."

Zanikło także „jarmarkowanie"; zwiększył się również wielce szacunek dla kobiety.

Zamiast wódki bierze obecnie włościanin nadrabski książkę i gdyby galicyjskie Towarzystwo oświaty ludowej starało się bardziej trafić do jego upodobań, mogłoby dodatnio oddziałać. Do bibliotek ludowych rzucili się wieśniacy skwapliwie. W krótkim czasie przeczytali wszystkie książeczki, przysłane przez wspomniane Towarzystwo.

Byłoby wszakże pożądanem, ażeby tego rodzaju wydawnictwa poruszały wszystkie strony życia ludowego i aby nie miały „wyraźnej formy mentorskiej z zabarwieniem tendencyjnem." Nieraz zdarzało się autorowi „Zwyczajów prawnych" słyszeć: „Panowie ino myślą, że chłop taki głupi, że nic nie rozumi. Ale i my przeciez sie na cym znawa i to lepsi, jak niejeden pan, co na wsi nie był, a kciałby nas ucyć rozumu."

Zainteresowanie sprawami dotyczącemi włościan jest znaczne. O ustroju sądów powiatowych ma lud bardzo jasne pojęcie, pragnie także ze względu na ich kosztowność, aby urzędy gminne posiadały obszerniejszą władzę. Według jego zdania, wszystkie sprawy drobniejsze powinny należeć do nich. Instytucyę sądów przysięgłych uważa za prawdziwe dobrodziejstwo.

Co do wyborów, to Nadrabianie wespół z ludnością całego powiatu bocheńskiego od lat szesnatu zaczynają coraz więcej skupiać się, zastanawiać nad sobą i łączyć w celu wybierania posła ze swego łona. Już na kilka miesięcy przed wyborami czy to do Rady państwa, czy do sejmu, ożywiał się zawsze ruch wśród wieśniaków. Chcieliby, aby posłem był ktoś im podobny, uczciwy, mądry i roztropny, aby umiał i chciał się ująć za nimi, gdzie zachodzi potrzeba. Mimo to raz tylko, przed dwunastu laty, udało im się wybrać włościanina (Orzechowskiego z Łazów). Zawsze bowiem z nadmiaru ostrożności wpadali w nieporadność, którą umieli wyzyskać dla swoich celów agitatorowie obozu konserwatywnego.

Ale od trzech lat biorą włościanie tutejsi coraz liczniejszy udział w zgromadzeniach i wiecach ludowych, coraz głośniej zaznaczają swe skargi na krzywdę płynącą z niektórych ustaw, objawiają żal do swoich reprezentantów w ciałach prawodawczych, a zarazem dążą z pewną konsekwencyą do wypełnienia wszystkich ustawą wyborczą przyznanych im miejsc przez własne siły tak w Radzie państwa i w sejmie krajowym, jak i w Radzie powiatowej. Jeśli podczas ostatnich wyborów do Rady państwa (16 marca 1897) kandydat ludowy upadł, to dlatego, że nie miał należytego moralnego poparcia ze wsi rodzinnej, a wskutek podeszłego wieku nie dawał ogółowi wyborców dostatecznej rękojmi odpowiedniego przedstawicielstwa interesów włościańskich."

Wiosną 1896, podczas wyborów do Rady powiatowej, opiekującej się drogami, przechodzącemi przez obszary dworskie w przeciwieństwie do włościańskich, wieśniacy powiatu bocheńskiego zorganizowali się dość silnie i postanowili nie utracić ani jednego swego mandatu (12 na 26). Udało im się to w zupełności. Nadto zamierzają oni w przyszłości przybywać jako słuchacze na posiedzenia rady, które są jawne, czego dotąd zaniedbywali.

Nie będąc optymistą, wyróżniłem tyle stron dodatnich, może dlatego, że chciałem ich szukać. Szło mi głównie o wykazanie, iż ta gleba, która czeka posiewu, nie jest jałową, ani kamienistą.

Ci, co lubią ciemne barwy, niewiele znajdą w książce Świętka. To i owo dowiedzie co najwyżej, że i we wsi nadrabskiej ludzie są ludźmi. Na ponure tło mozajka ta nie wystarczy.

W „Zwyczajach i pojęciach prawnych" nasi ludoznawcy znajdą wiązkę archaizmów etnograficznych, ale większe żniwo w tym względzie czeka ich w „Ludzie nadrabskim."

Należy się gorąca podzięka J. Świętkowi za obie prace, a Akademii krakowskiej za ich wydanie. Nie możemy również zamilczeć, że pochop do „Zwyczajów i pojęć prawnych" dał autorowi cenny „kwestyonaryusz" Bronisława Grabowskiego, dru-

kowany niegdyś w *Wiśle* i wydany potem jako odbitka*).

Włodzimierz Bugiel.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Stefan Żeromski: *Utwory powieściowe*. Warszawa, 1898. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 326.

Stefan Żeromski... Dziś znamy go i czytamy wszyscy. Ukazanie się nowej jego książki jest pewnego rodzaju wypadkiem dnia. Głos inteligentnego ogółu — bo nie głos krytyki literackiej, która u nas, w stosunku do młodych i oryginalnych talentów, lubi zachowywać długo ostrożną i przewidującą powściągliwość — oddał Żeromskiemu berło i hegemonię w zaczarowanym lesie literatury najmłodszych. Krytyka wyrok ten przyjęła bez apelacyi i nawet sama wprowadzać go zaczyna w wykonanie, chociaż pamiętamy dobrze, jak przed trzema zaledwie laty o prześlicznych jego „Opowiadaniach“ odzywała się w taki mniej więcej sposób, jak o pierwszym lepszym zbiorze „utworów“ hr. Łosia, Estei lub Rodziewiczówny. Jeżeli to nie smutne, to w każdym razie dla stosunków naszych charakterystyczne...

„Opowiadań“ Żeromskiego przypominać tu nie będziemy. Zbyt głęboko wryły nam się w mózg takie postacie, jak doktór Piotr i „Siłaczka,“ zbyt żywo stoi nam w oczach stary Cedzyna, schylający się ku ziemi i przy świetle ostatniego blasku zorzy wieczornej rozpoznający w śniegu głębokie ślady jedynaka swojego — zbyt wonne były te zapachy zboża, zbyt subtelne oddechy ziemi, abyśmy przypuścić mogli, że ich czytelnik nie pamięta.

Nowa książka autora „Zapomnienia“ i „Zmierzchu“ zarówno charakterem ogólnym, jak nastrojem pewnych sytuacyj poszczególnych, przypomina niewątpliwie pierwszą. Żeromski jest zbyt wybitną indywidualnością twórczą, aby to wszystko, czego dotknie piórem, nie nosiło wyraźnych śladów jego umysłu i serca. A więc i przy czytaniu wydanych świeżo „Utworów powieściowych“ wydaje nam się chwilami, że w noc jesienną, burzliwą, przy plusku deszczu i złowrogim wichru poświście, odbywamy jakąś podróż daleką ku majaczącemu gdzieś w mroku celowi. Już, zda się, błądzimy w ciemności, i anioł zwątpienia roztacza nad nami olbrzymie czarne skrzydła, gdy wtem wysoko, z po za gęstej opony chmur, błyśnie na chwilę jakiś promień złoty, rozwidni ścieżkę ciernistą i serce napełni otuchą...

A po za tem i niezależnie od tego mamy tu znowu do czynienia z ustrojem duchowym autora, niezmiernie wrażliwym na wszystkie objawy, na wszystkie głosy i szepty natury, która, jak kochanka, nie ma dla niego tajemnic — i spostrzegamy serce, odczuwające bardzo silnie wszystkie bóle ludzkie, od klęsk potężnych, spadających jak piorun i jak piorun druzgocących odrazu, aż do niedostrzegalnych prawie dla zwykłego oka odruchów zbolałej duszy, cierpiącej gdzieś samotnie, w ciemności.

Czytelnicy *Prawdy* przypominają sobie zapewne drukowany w niej przed dwoma laty, przesiąknięty smutkiem bezgranicznym, a taki prawdziwy i subtelny szkic psychologiczny p. t. „Tabu.“ I całą tę wstrząsającą scenę szpitalną, w której miłość kochającej kobiety staje do walki z potężnym demonem obłąkania, i ów powrót nieszczęśliwej żony szaleńca, przybitej, zgnębionej, wyczerpanej walką daremną, „strażniczki grobów, które proszą o łzy i miłość“ — i rozmyślania jej wreszcie, jakby z głębin cierpiącej duszy wydarte:

„...Gdybym tu umarła w tej chwili, gdybym się zsunęła w wodę i utopiła, pożarłyby mnie raki i robactwo, a ta woda igrałaby nade mną tak samo cudownie, te ryby tak samoby się pluskały i ta rozkosz, co idzie z rozkwitłej ziemi, szłaby tak samo dla innych... Kto upada, ten ginąć musi. Śmierć przychodzi do nas nie z pompatycznym mieczem, nie ze zdradzieckim sztyletem, ale z brutalnem żegadłem rzeźnika. Z uśmiechem zabija według praw swoich, według swego obrachunku... Niemasz litości w tem wszystkiem... Och, a czemuż my ją czujemy, po co i za co?..“

Szkic ten cały, jeden z najpiękniejszych, jakie w tym rodzaju literatura nasza posiada, daje pojęcie o jednej stronie talentu Żeromskiego: o jego wrażliwości na ból ludzki, o umiejętności odsłaniania przed czytelnikiem tajemnic dusz cierpiących.

Współczucie autora dla tych wszystkich, których nadmiernie przygniata młyńskie koło życia, nie bywa zresztą wielomówne. Niekiedy znajduje ono wyraz w jednym rysie zaledwie, który jednak niełatwo wygładzić się daje z pamięci, jak owa wzmianka np., w wesołej skądinąd noweli p. t. „Kara,“ o utrzymującej dom cały, młodej jeszcze bardzo, ładnej i cichej pannie Zofii, mającej w dużych, lazurowych oczach znamię umysłowego strudzenia, „ów sygnał wiecznie pracującej pamięci, która odruch wiedzy, potrzebnej niezbędnie, trzyma w ciągłej świeżości.“ „Ten zasób — dodaje nowelista — nigdy nie może się stępić, gdyż nim się zdobywa kawałek chleba, jak górnik zdobywa go kilofem, jak szwaczka igłą...“

Chcąc uprzytomnić sobie inną stronę tego niezwykłego talentu, jego wrażliwość zwłaszcza na majestatyczne i groźne piękno natury, musimy razem z oddziałem Francuzów, prowadzonych przeciwko Austryakom przez dwudziestodziewięcioletniego generała Gudin'a („O żołnierzu tułaczu“), w myśli chociaż wznieść się na lodowe szczyty alpejskie i wsłuchać w ryk chwytających się za bary potoków, i wpatrywać w wielkie, świetliste plamy słoneczne, pokrywające blaskiem czarne granity i dzikie krzesanice — musimy, jak żołnierze owi, niosący na końcach bagnetów burzące porządek stary hasła rewolucyi, przenieść się chociaż na chwilę w ową krainę z państwa snu czy maligny, i truchleć na widok oceanu przedziwnych gromad lodu i granitu, i stanąć oko w oko z tajemniczą pustynią Alp berneńskich, słuchając dochodzących w ciszy nocnej szumów i łkań Rodanu...

We wstrząsającym opisie tej nadpowietrznej wędrówki nie podobało się komuś nadmierne rzekomo nagromadzenie nazw i szczegółów geograficznych, zbyt wielka topograficzna dokładność. Dla nas zarzut ten nie istnieje, bo szczegółowość opisu jeszcze podnosi złudzenie, nadaje opowiadaniu tem większą cechę prawdopodobieństwa. Jest to zresztą wogóle kwestya drugorzędna, i tutaj przynajmniej krytycy mogliby śmiało pozostawić autorowi swobodę zupełną.

Niezrównany natomiast opis zimnej nocy górskiej, spędzonej przez wojsko, w obliczu wroga, na olbrzymim lodowcu alpejskim, niewiele z pewnością znajdzie równych sobie w literaturze. Czytelnik odczuwa niemal chłód, przenikający żołnierza do szpiku kości, i tę tęsknotę do ognisk, płonących na dole, w obozie nieprzyjacielskim, w którego stronę mimowoli wyciągają się ręce zgrabiałe.

Ale niepospolita indywidualność autora nigdzie chyba nie zarysowuje się tak wyraźnie i wszechstronnie, jak w obszernym szkicu powieściowym p. t. „Promień,“ który sam jeden mógłby utworzyć książkę pokaźną. Mamy tu bowiem i pełne przedziwnej melancholii opisy natury, i głębokie współczucie dla nędzy ludzkiej, pojmowanej nader szeroko, i wylewy goryczy i zwątpienia, pozostawiające w duszy jedno tylko pragnienie — „odejść, uciec, nie wiedzieć nic a nic, rozpłynąć się w jakiejś bezmiernej, ciepłej kąpieli, spocząć w nicości na wieki, na wieki“ — jest i walka rozpaczliwa z tym stanem. Mamy ludzi z krwi i kości, z instynktami lepszymi i nędznymi, mamy i tłum bezmyślny, poruszany, jak fala, mocniejszym wiatru powiewem; mamy szamotanie się szlachetnej jednostki ludzkiej, rzuconej w otoczenie nieprzyjazne i znoszącej mężnie najcięższe ciosy i straty, i mamy ostatecznie zwycięztwo lepszych pierwiastków, a wszystko to składa się w sumie na wielostronny, pełen prawdy i życia obraz pokolenia całego... Mamy, słowem, ową wędrówkę w noc ciemną i burzliwą przez niezmierzony ocean życia i przebłyski migotliwe przewodniej gwiazdy — idei, świecącej gdzieś wysoko za chmur ponurych kłębami.

Oto bohater opowiadania, Raduski, powraca w strony rodzinne po wielu latach nieobecności, witamy zewsząd objawami nędzy, ciemnoty i zdziczenia. W rodzinnem mieście pozdrawia go na wstępie pałka zuchwalego rabusia, obrazy nędzy przesuwają się przed jego oczyma, niepodobna dostrzedz jaśniejszego przebłysku słońca. Raduski ma chwile ciężkie. Widzi jedynie „olbrzymie tłumy żydostwa, zanurzone w niezbadanej nocy ciemnoty, na którą nigdzie niema lekarstwa, tłumy chłopstwa, nietknięte ani jednym powiewem kultury — przemysł fabryczny, stopudowym młotem druzgocący rzemiosło w tym celu, żeby płodami trudu obdartych tłumów zalać „rynki,“ bez najmniejszego pożytku dla cywilizacyi miejsca, z którego się począł.. Motłoch jak był, tak jest sobą...“ Na domiar złego rdza i egoizm karyerowiczostwa przejada w oczach Raduskiego dusze dawnych jego przyjaciół i towarzyszów, a szlachetny lekarz, niosący bezpłatnie pomoc nędzarzom, pada ofiarą swej bezinteresowności i ginie w strasznych męczarniach. Wszystko się składa na pognębienie bohatera powieści, który znikąd nie słyszy słowa zachęty i dostrzedz nie może na zachmurzonem niebie promienia otuchy i nadziei.

Promień ten jednak znajduje się w głębi jego własnej, zahartowanej nieszczęściami duszy. *E pur si muove!* Raduski stanie do walki i ani stratą ukochanej kobiety, ani nizkiemi knowaniami i intrygami nieprzebierających w środkach współzawodników z zajętej placówki zepchnąć się nie da. Dobro ogółu stanie mu się gwiazdą przewodnią, jasnym promieniem życia, za którym postępując odważnie, żadnej się burzy nie zlęknie, ze wszystkich wyjdzie zwycięzcą. *E pur si muove!*

Utwór cały obfituje w typy i sylwetki wyborne (Koszycki, Poziemscy, Grzybowiczowie, Olśniony, stary antykwaryusz itd.). Umiejętność autora patrzenia w życie i czerpania z niego pełną dłonią uderzy tu w oczy każdego. W pojedynczych scenach, nad któremi tu już zatrzymywać się nie będziemy, brzmi jakaś nuta energiczna, męzka, wywołująca odpowiedni nastrój w duszy czytelnika.

---

*) Z powyższego sprawozdania usunęliśmy te ustępy, które zawierały materyał zbyt znany i zbyt małoważny. A takiego materyału jest w książce p. Świętka za dużo. Nie wszystko, co wyrasta na gruncie życia Nadrabian, jest dla etnologii cennem i nie wszystko oryginalnem. Tak np. że chłop pomaga chłopu w wyciągnięciu woza z błota lub daje pomoc w pożarze — to są fakty wszędzie spotykane.

Red.

W pozostałych utworach powieściowych Żeromskiego („Na pokładzie,“ „Legenda o bracie leśnym,“ „Cienie“) wskazać można by również zaznaczone wyżej rysy jego talentu, czego jednak już nie zrobimy, nie chcąc rozszerzać zbytecznie ram sprawozdania.

Wśród powieściopisarzy i nowelistów naszych, Stefan Żeromski zajmuje stanowisko odrębne. Wybitny indywidualizm artystyczny znakomitego pisarza nie pozwala wynaleźć dlań bliższego pokrewieństwa we współczesnej literaturze naszej. Pewne jednak powinowactwo duchowe łączy go niewątpliwie z Kasprowiczem, który w swym prześlicznym „Krzaku dzikiej róży“ dał nam tyle wspaniałych obrazów natury tatrzańskiej i alpejskiej, który w chwilach zwątpienia zwraca się do tłumu z gorzką apostrofą: „Byłeś mi dawniej bożyszczem. o tłumie! Wiarę mą trawił twój żołądek wraży! Dziś moja miłość już zgiąć się nie umie na stopniach twoich bezbożnych ołtarzy“ — z którym jednak Żeromski miałby zupełne prawo zawołać: „A mych zwątpień, mych zachwytów niedaremny wszak był trud — Kłosom z moich ziarn powstałym błogosławi boży tłum: W mych zwątpieniach, w mych zachwytach była jego krew i moc..“

Władysław Bukowiński.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Stanisław Kozłowski: *Taboryci*, dramat w 5 aktach..

Cztery utwory Kozłowskiego, „Albert, wójt krakowski,“ „Esterka,“ „Turniej“ i wreszcie „Taboryci,“ dają nam możność i prawo scharakteryzowania twórczości tego dramaturga, rozejrzenia się w jego uzbrojeniu artystycznem, wykreślenia jego drogi w piśmiennictwie i zbadania, z czem do nas przychodzi jako pisarz, czyli człowiek publicznie przemawiający.

Pierwsze dwa utwory znane są nam tylko z książek; następne mieliśmy możność poznania z książek i ze sceny. „Turniej“ obiegł ważniejsze przybytki sztuki polskiej, doznając nierównego powodzenia. W Warszawie trzyma się do dziś dnia; w Krakowie upadł. Widzieliśmy go nawet na scenie w Sosnowcu, gdzie przeszedł zaiste ogniową próbę. Kto wysłuchał. przeczytał i przypatrzył się „Turniejowi“ w Sosnowcu i w teatrze Wielkim, ten niewątpliwie posiada dostatecznie wyrobione zdanie o myślowej i artystycznej stronie tego dramatu. Co to powiadają astronomowie o rózgach komet? Niema ich dla oka ludzkiego, póki toną w mrokach i mrozach pustyń wszechświatowych; dowlókłszy się natomiast do słońca, poczynają w jego blasku ogrzewać się i świecić. Owem słońcem dla „Turnieju“ są promienie dekoracyjne teatru Wielkiego i lwia postać Leszczyńskiego. Świetność wystawy, patos deklamatora — oto, co utwór ten rozgrzewa. Czyż mamy powiedzieć: tchnienie z zewnątrz?

„Taboryci“ nie ukazali się jeszcze ani w Krakowie, ani w Sosnowcu; zdaje nam się przecie, iż niepotrzeba być prorokiem, aby im podobne losy zapowiedzieć. Nierówność siły działania na widzów jest ich szczęściem i nieszczęściem. Akt drugi zarówno całością jak i rozmachem wybiega do tego stopnia ponad inne akty i sceny, że trzeci, czwarty i piąty akt poprostu po nim padają. „Taboryci,“ jeżeli się utrzymają w repertuarze, to dzięki temu drugiemu aktowi. I na odwrót. Jeżeli nie będą cieszyć się powodzeniem, to dlatego, że cztery pozostałe akty są za słabe w porównaniu z owym drugim, który jest ich własnym sędzią i pogromcą.

Kozłowski jest człowiekiem chłodnym i artystą, który krępuje własne skrzydła, jeżeli je ma. Polotu, żaru, rozpędu promotejskiego — o to się nawet nie kusi; przeciwnie, jak gdyby się tego wystrzegał. W każdym niemal utworze „zapomina się“ i uległszy temu czemuś, co w sobie więzi w podziemiach duszy, kreśli scenę wielką, niemal szekspirowską. Teatr wpada w entuzyazm, grzmią oklaski, promienie sztuki rozchodzą się po widowni, napełniają serca ciepłem, radością i oczekiwaniem. Wtedy Kozłowski spostrzegłszy się, chwyta zbuntowanego Prometeusza za kark, strąca go do podziemi swej duszy i nie wypuszczając do końca sztuki, pisze chłodno, konwencyonalnie, nie dbając o nic, tylko o gładkość i poprawność.

Żali to sąd zbyt surowy? Żali on będzie zwierciadłem, o którem Kozłowski powie, że w niem wprawdzie dostrzegł swoje oblicze, ale połamane? Celem krytyki jest także odnalezienie w artyście zalet nieuświadomionych należycie. A zdaje nam się, że Kozłowski ma poprostu upodobanie do swych błędów i pogardę dla swych zalet. Gdyby było odwrotnie, to dałby może jeden akt słaby a cztery silne. Cząstka prometejska drzemie w nim a natomiast czuwa chłód i konwencyonalność. Czy się nie zbudzi? Mniemamy, że mogłoby to być tylko kwestyą czasu.

Aczkolwiek Kozłowski zakreśla dziełom swoim ramy społeczno-polityczne, akcya jednak toczy się zawsze około zagadnień życiowych nie ogółu, lecz jednostek. Ojciec i syn, kochanka i kochanek— oto główne typy jego galeryi. Pewne motywy wracają nawet uporczywie, jak np. matki podmawiające córki do rozkochania w sobie nienawistnych im ludzi i tym sposobem do zgubienia ich; motyw rywalizacyi; poświęcenie wszystkich zagadnień życia dla miłości. Na tle szerokiem, dziejowem, kochankowie Kozłowskiego występują blado, przemawiają czułostkowo, nie cierpimy ich cierpieniami, nie płaczemy ich płaczem. A jednak mogłoby to mieć miejsce, gdyby Kozłowski starał się pogłębić swoje kompozycye. Doskonałym momentem jest chwila, gdy rycerze-obrońcy Lubohradu dowiadują się, że ich grafini, za którą głowę nadstawiali, uciekła z taborytą. Co? Przelewamy tu krew za nią, oddychamy ledwie, opasani w okół nawałą chłopską, a ona z jednym z tych chłopów ucieka? Spalić to podłe jej gniazdo, zostawić na łup chłopstwa, przebić się przez tłumy oblegające i pójść w świat, gdzie nie straciły jeszcze znaczenia wyrazy: cześć, rycerskość, duma!

A historya? Nie obchodzi nas w sztuce ta istotna, poparta dokumentami historya, tylko ta żywa, która mieszka nie w książkach, lecz w sercach ludzkości. Do niej się odwoływał Szyller, tworząc Tella. Kozłowski nie odwołał się ani do jednej, ani do drugiej. Temat przez niego opracowany dałoby się przenieść równie dobrze na tło niemieckich wojen chłopskich lub zawichrzeń, jakie się u nas działy wskutek hulatyki Bolesława Śmiałego w Kijowie. Nie byłoby tylko stosów, płomiennej dekoracyi zgonu, która i tak zbyt silnego wrażenia nie wywiera. Kozłowskiego taboryci palą wprawdzie, ale nie są fanatykami, miewają podobno kazania, ale ani jednego nie słyszymy. Niech nam wolno będzie powołać się na „Obóz Wallensteina“ i zapytać się, jak w zestawieniu wygląda „obóz taborytów?“

Kozłowski pisuje dramaty wierszem. Trzeba być takim mistrzem słowa, jak stary Fredro, aby nie poświęcić dla rytmu i rymu najpotężniejszego środka charakterystyki występujących osób, to jest ich języka. Zepsuła nas trochę współczesna powieść historyczna; wymagamy więcej, niż dawniej; bohaterowie romantyczni nie wystarczają nam, żądamy obok fantazyi i polotu, realistycznego odtworzenia czasów zamierzchłych. Prawie wszyscy bohaterowie Kozłowskiego przemawiają do nas językiem autora, zarówno szlachetnie urodzona grafini, jak i zagorzalec z taboryckiego obozu. Jest to język współczesnych poetów, ale nie rozmarzonych trubadurów, lub prostaków czeskich, rzucających się wściekle na znienawidzone zamki.

Przypuszczamy, że Kozłowski na Taborytach nie skończy, że nieraz jeszcze zapowiedzą nam afisze jego prace. Niech zatem wie, czego dzisiejsza publiczność od niego żąda, tak dobrze od niego, jak i od każdego innego autora. Niech przedewszystkiem zerwie z tą konwencyonalnością, niech stara się trochę uczuciowo rozgrzać, niech się pogłębi jako postrzegacz życiowy i niech tę cząstkę prometejską, jaką może w sobie ma, należycie uszanuje i rozpęta. Odwołujemy się do najlepszych momentów jego twórczości i kończymy słowami Mickiewicza: „Śmiało, śmiało! tę chwilę rozdłużmy, rozdalmy! Śmiało, śmiało! tę iskrę rozniećmy, rozpalmy!“

Andrzej Niemojewski.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Stefan Stetkiewicz.

D. 19 b. m. nagle zakończył życie młody przyrodnik, Stefan Stetkiewicz, bardzo pracowity i sumienny popularyzator wiedzy z zakresu fizyki. Pisał stosunkowo niewiele, ale prace jego nosiły charakter gruntowny i dla ogółu czytającego istotnie były pożyteczne. W ostatnich czasach stale zasilał *Wszechświat*, w którym między innemi umieścił rzecz większą o najnowszych silnicach (motorach). Z języków obcych przyswajał prace pożyteczne i pożądane. W „Bibliotece rzemieślniczej“ H. Wawelberga wyszło w jego przekładzie dziełko Anglika, Andrzeja Jamesona, p. t. „Zasady magnetyzmu i elektryczności.“ Przed kilku laty brał czynny udział w pogadankach popularnych dla rzemieślników. Jako człowiek, odznaczał się nieposzlakowanym charakterem. Spokojny, skromny, pędził życie skupione, najbardziej pożądane dla pracownika na niwie naukowej. Ale zarazem nosił w duszy jakieś cierpienie, które często umysł jego zasnuwało chmurami neurastenii i melancholii. Zgasł w 35 roku życia, tj. w wieku, który zazwyczaj daje ludziom pełnię energii i pozwala wejść na szersze pola pracy. Zmarły pozostawił szczery żal po sobie tych, którzy go bliżej znali i potrafili ocenić przymioty duchowe i umysłowe.

p.

Henryk Perzyński.

W ubiegłym tygodniu zmarł Henryk Perzyński, redaktor *Dziennika dla wszystkich.* W r. 1872 objął redakcyę *Opiekuna domowego*, zasilanego przez Prusa, Ochorowicza, Bema, Suligowskiego, Znatowicza i wielu innych. Następnie przedsięwziął wydawnictwo „Biblioteki wychowawczej.“ W r. 1875 na gruzach redakcyi *Opiekuna* powstało nowe pismo, *Tygodnik powszechny*, którego kierownikiem Perzyński był tylko rok jeden. Zamieścił w nim dwie swoje większe prace: „Stanisław August w Grodnie“ i „Litwa w latach 1794—1797.“ W r. 1879 został współwłaścicielem i redaktorem *Dziennika dla wszystkich*, w którym pracował, trzeba przyznać, z wysiłkiem, poprzestając na nielicznem gronie współpracowników. Kto zna machinervę dziennikarską, pochłaniającą od rana do nocy uwagę i czas, ten

musi podziwiać długą wytrwałość człowieka na takiem stanowisku bez przerwy. To też Perzyński przez wiele lat po za bieżącą pracą dziennikarską, po za tą przemijającą z dniem każdym falą kwestyj, nic więcej zbudować, ani stworzyć nie zdołał.

p.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

HISTORYA. „Obrazu literatury polskiej w streszczeniach i celniejszych wyjątkach" P. Chmielowskiego wyszedł ostatni (20) zeszyt.

— Jednocześnie dokończona została wychodząca nakładem tejże firmy Gebethnera i Wolffa „Historya literatury powszechnej w zarysie" W. Gostomskiego (t. II, z. 12).

— „Historyi polskiej" w *Bibl. dzieł wyborowych* ukazał się tom III.

JĘZYKOZNAWSTWO. W. Kokowski wydał w Łodzi nakładem Fiszera: „Krótką etymologię języka polskiego" (84 str.) i „Krótką składnię języka polskiego" (48 str.).

FILOZOFIA. Nakładem *Przeglądu filozoficznego* wyszły: „Rozprawa Mickiewicza o Jakóbie Böhmie" po francusku i po polsku w przekładzie P. Chmielowskiego z przedmową Wł. Mickiewicza (35 str.) i „Granice poznania natury — Siedem zagadek wszechświatowych," dwa odczyty E. Dubois-Reimonda, w tłomaczeniu i z przedmową M. Massoniusa (54 str.).

ETNOLOGIA. J. Wittort: „Zarysy prawa pierwotnego" (177 str.). *Głos.*

OGRODNICTWO. M. Karczewska: „O uprawie warzyw," książeczka dla włościan, nagrodzona na konkursie Tow. ogrod. (60 str.).

POWIEŚCI. L Godlewska (Exterus): „Kato," powieść współczesna w 2 tomach (318 i 236 str.), *Głos.*

— A. Dygasiński: „Wilk, psy i ludzie — w puszczy," nowele (159 str.). *Bibl. dzieł wybor,*

— T. T. Jeż: „W zaraniu," t. I (147 str.). Dodatek do *Gazety polskiej.*

— Aer: „Złudzenia," opowieść z czasów ks. Józefa Poniatowskiego (362 str.). Gebethner i Wolff.

POEZYE. „Gaudeaumus," zbiorek przekładów z R. Baumbacha, W. Scheffla i J. Wolffa, dokonanych przez Cz. Jankowskiego, J. Łętowskiego, W. Nawrockiego, A. Niemojewskiego i W. Zagórskiego, a dotyczących „wina, kobiety i śpiewu" (105 s.).

POEZYE

Do piosenki.

Nie mogę rozstać się z tobą
Piosenko mała,
Coś mi tak wiele promiennych
Marzeń zabrała,
Co mię nie czynisz ni możną,
Ani szczęśliwą —
Choć serce moje rozrywam
Na twe przędziwo!
Chociaż dla ciebie, wskróś cieni
Lecę do słońca,
Skąd mię, niebogę, szyderczy
Wicher odtrąca.
Odtrąca nieraz z moimi snami
Tem żywiej,
Ażebym ciernie tej ziemi
Czuła dotkliwiej —
I rwała o nie snów moich
Złote włókienko,
Jednak—nie mogę rozstać się
Z tobą piosenko!
Bo ty się do mnie odzywasz
W słońca promieniu,
W cierniach i wichrach, i w każdem
Smutnem westchnieniu.

Z. Stattlerowa.

SPRAWY EKONOMICZNE

KANCELARYA I ŻYCIE.

Przed dwoma laty ziemianie nasi w sekcyi rolnej obradowali nad zawiązaniem stosunków handlowych z intendenturą wojskową, która wyraziła pragnienie bezpośredniego porozumienia się z nimi. Zebrano podpisy, a jednak tranzakcya nie przyszła do skutku. Obecnie znowu na październikowem posiedzeniu sekcyi obwieszczono, że intendentura pragnie jednak z ziemiaństwem naszem zawiązać stałe i bezpośrednie stosunki. Ponieważ nikt nie wiedział, jakie warunki ten hurtowny nabywca podaje, więc stworzono doraźną delegacyę (pp. Leon Przanowski, Władysław Jelski i Józef Ostrowski), która udała się do zarządu intendentury i wydobyła następujące informacye:

Dawniejszy system dostaw drogą licytacyi publicznej stopniowo ustępuje prowiantowaniu się sposobem gospodarczym. Obecnie każdy rolnik pojedynczy lub konsorcyum, mające minimum 5,000 pudów zboża (głównie żyta, ale również owsa, mąki i kaszy tatarczanej), może nadesłać swe oferty z ceną, jaką pragnie osiągnąć magazyn wojskowy *loco* lub na najbliższej majątku stacyi kolejowej. Magazyny przyjmujące zboże istnieją w Warszawie, Brześciu, Iwangrodzie i Nowogieorgiewsku." Po zatem jeszcze trochę szczegółów, dotyczących ceny, domieszek w zbożu, worków itd. Jednocześnie musimy zaznaczyć, że przed paru tygodniami za pośrednictwem zarządów gminnych i burmistrzów obwieszczono ziemianom przepisy intendentury, dotyczące dostawy zboża.

Z faktów tych nasuwają się trzy pytania: 1) Dlaczego po pierwszej odezwie rolnicy nasi nie mogli zawiązać stosunków z intendenturą? 2) Dlaczego obecnie w sekcyi rolnej przyjęto ponowne obwieszczenie, jako rzecz nieznaną i 3) dlaczego musiano stworzyć delegacyę do wydobycia szczegółów z zarządu intendentury, skoro rolnicy w całym kraju mogli się obeznać z warunkami za pośrednictwem zarządów gminnych i burmistrzów? Odpowiedź na te wszystkie pytania znajdujemy w obszernem wyjaśnieniu rolnika, niejakiego p. Prawdzińskiego, zamieszczonem na szpaltach *Warszawskiego Dziennika*. Otóż dowiadujemy się z tego źródła, że przepisy obecnie obwieszczone, były opracowane na r. 1897 i przystosowane do ówczesnych warunków urodzaju i omłotu. Mają one jednak moc obowiązującą i obecnie. Do zarządów powiatowych wysłano tylko po dwa egzemplarze: jeden pozostał w kancelaryi drugi — powędrował od wójta do wójta, od burmistrza do burmistrza. Przepisy obejmują cały arkusz dużego formatu i zawierają 25 artykułów z objaśnieniami. Nawet człowiek bardzo obeznany z subtelnościami kancelaryjnemi i wyrażeniami technicznemi, ażeby zapamiętać przynajmniej ważniejszą treść, musiałby te przepisy kilkakrotnie z wielką uwagą przeczytać, a nawet — przepisać. A więc każdemu rolnikowi trzeba na to dać przynajmniej dwa dni. Z tego powodu autor artykułu w *Warsz. Dniew.* robi dowcipne wyliczenie: Jeżeli jeden powiat posiada tylko 100 właścicieli ziemskich, to na ogłoszenie przepisów trzeba użyć najmniej 200 dni. Do tego zaś należy jeszcze dodać 100 dni na przesyłkę z gminy do gminy, od burmistrza do burmistrza, na wędrówkę posłańców gminnych od dworu do dworu. Tym sposobem wypadnie 300 dni, czyli prawie rok. A więc wszyscy rolnicy dowiedzą się o warunkach tranzakcyi i dostawy akurat na początkach żniw r. 1899!

„Ale ponieważ, według porządków kancelaryjnych, papier nie może pozostawać tak długo po za obrębem zarządów powiatowych, więc przepisy, dzięki gorliwości pisarzów gminnych i sekretarzy magistratu, będą ogłoszone w ciągu najwyżej jednego miesiąca takim sposobem: wójt gminy A. potrzyma je u siebie dwa lub trzy dni i wyśle dalej z adnotacyą: „Po ogłoszeniu niniejszego rolnikom powierzonej mi gminy, przesyłam w tym samym celu wójtowi gminy B" itd. A zarząd powiatowy, otrzymawszy dane z różnych miejsc, zawiadamia kogo należy, że przepisy ogłoszono wszystkim rolnikom powiatu. Taką drogą, jak słusznie zaznacza rolnik, o przepisach wcale się nie dowie 99% ziemian. To jest odpowiedź na pytanie, dlaczego sekcya rolna po raz pierwszy dowiedziała się o przepisach na posiedzeniu i dlaczego stworzono delegacyę, ażeby zasięgnąć języka.

Teraz pozostają do wyjaśnienia bardzo ważne przyczyny, dla których stosunki handlowe z intendenturą, przy obecnym stanie rzeczy są niemożliwe. Art. 25 przepisów głosi. „Najmniejsza ilość żyta zakontraktowanego wynosi 5,000 pudów" (1,000 korcy). Cała umowa (§ 24) pisze się na papierze herbowym, a koszty jej ponosi dostawca. Zobaczmy, jaki stąd rachunek powstanie: Ponieważ 1,000 korcy żyta kosztuje 3—4,500 rb., a nawet i więcej, zatem cena arkusza papieru kontraktowego uczyni 15 rb. 60 k., kopia 80 k., na sporządzenie kontraktu dwie lub trzy marki po 80 kop. = 1 rb. 60 kop. — 2 rb. 40 kop. lub więcej. Następnie do sumy kosztów doliczyć jeszcze należy wycieczki do Warszawy. Ponieważ zaś kontrakt, według brzmienia § 14, powinien być gwarantowany kaucyą w rozmiarach 20% całej wartości żyta, więc trzeba złożyć w gotowiźnie lub papierach (obecnie można i w zbożu) 600—900 rb. Przed zawarciem umowy trzeba do zarządu intendentury przesłać próbki żyta w dwu zakorkowanych lub zapieczętowanych naczyniach szklanych, najmniej po trzy funty w każdem. Ale taka uprzednia ocena, jak wyjaśniają przepisy w innem miejscu, wcale nie daje rękojmi rolnikom, że ich towar będzie przyjęty.

Można zdawać zboże urzędnikom intendentury na stacyach kolejowych, ale wszelkie koszty podróży i utrzymania tych urzędników ponoszą znowu... ziemianie, bez względu na to, czy towar będzie, czy nie będzie przyjęty. Według § 11, przy zapłacie właścicielowi należności za dostarczone żyto, zatrzymuje się na koszt jego przechowania po 10 kop. od każdej czetwerti. Koszt dostawy żyta wprost do magazynów lub do stacyi kolejowej spada na właściciela. Intendentura bierze na siebie tylko koszt transportu od stacyi, w razie przyjęcia towaru na niej. Żyto powinno być dowiezione albo w workach skarbowych, dostarczonych na koszt rolników, albo też w mocnych i dobrych rogożach, albo wreszcie we własnych workach dostawcy, zrobionych według przepisanej wagi i z przepisanego materyału przedniej wartości.

Tak więc, ażeby pomyślnie dostarczyć do intendentury 1,000 korcy żyta zakontraktowanego, trzeba przedewszystkiem posiadać 600—900 rb. na kaucyę. Po osobistych wycieczkach do Warszawy, zabiegach, kłopotach, można naraz dowiedzieć się, że zboże, skutkiem jakiejś drobnej niedokładności, nie będzie przyjęte. A wtedy idzie na marne uprzednio już poniesiony koszt około 500 rb., niezależnie od tego utrata kaucyi 600—900 rb.!

Przejrzyjmy jeszcze inne warunki dostawy: „Dostarczenie jednorazowo całej ilości żądanej nie wymaga zawierania u-

mowy“ (§ 24). Ale chcąc tę ilość, tj. 1,000 korcy dostarczyć, trzeba się zdobyć na 25—30 furmanek parokonnych, które, w razie drobnego uchybienia przez dostawcę, mogą wrócić ze zbożem. Jeszcze prawdopodobna jest i inna okoliczność: Okaże się naraz, że magazyny są zajęte, a wtedy, zgodnie z brzmieniem przepisów, dostawca musi własnym kosztem nająć pomieszczenie prywatne, najmniej na rok.

A oto inne wymagania przepisów: Jedna „ośmioczetwerykowa czetwert“ żyta powinna ważyć nie mniej, niż 9 pudów, bez worka; ziarno powinno być suche, zawierać nie więcej, niż 13½% wody, powinno być niezamoczone, czyste. Obce domieszki mogą wynosić najmniej 1% przyczem kąkolu i sporyszu, o ile można, nie powinno być wcale; może być zresztą $^1/_{10}$% w warunkach wyjątkowych. Jest jeszcze jedno „ustępstwo“: „Ponieważ w niektórych miejscowościach może być trudno o żyto wagi ściśle 9-pudowej przy 13½% wilgoci, więc dozwala się wyjątkowo dostarczać zboże lżejsze, najmniej wszakże 118 zołotników, tj. 8 pudów 34 funty w czetwerti ośmioczetwerykowej“ (§ 4). W innem miejscu czytamy: Worki nie powinny ważyć więcej, niż 3 funty, muszą mieć długości 2 arszyny i 1 werszek, szerokości 1 arszyn i 1 werszek. O tem wszystkiem rolnik powinien zawsze pamiętać, bo sprawienie worków o pół werszka krótszych lub węższych, a parę łutów cięższych, dostarczenie żyta z 13¾ wilgoci, może pozbawić go kaucyi, narazić na koszty dostawy, kontraktu, przejażdżek, utrzymania i rozjazdów urzędników intendentury, słowem — podciąć ekonomicznie.

Słusznie tedy powiada p. Prawdziński w *Warsz. Dniewn.*, że wobec takiej surowości formalistycznej rolnicy wolą mieć w dalszym ciągu stosunki handlowe z Moszkiem lub Janklem, bo ci bez żadnych zabiegów, kłopotów i ryzyka przyjadą do dworu, położą na stół pieniądze, zabiorą zboże w workach bez wagi i miary przepisanej, zrobionych nie z materyału przepisanego. Rolnik na tem nietylko nie straci, lecz przeciwnie — zyska; bo nie poniesie tych wszystkich kosztów wstępnych, około 500 rb.; zostaną one mu w kieszeni; a nadto nie straci kaucyi i czasu, nie poświęci dużo trudów i zabiegów, uniknie niepokojów i tysiącznych nieprzyjemności. Przytem z Moszkiem lub Janklem może się targować bez skrupułów i osiągnie wcale nie mniejsze ceny, niż daje intendentura. Jeżeli zaś zrobi pewne ustępstwa kupcom chałatowym, to znowu zyska na szybkości tranzakcyi.

Jak widzimy, przepisy te wynikły z nieporozumienia, z nieuwzględnienia istotnych warunków i potrzeb życia. Wprawdzie doświadczenie tu i owdzie dało intendenturze pewne wskazówki, które już dziś wytwarzają dążność do pogodzenia życia z kancelaryą, ale jeszcze w bardzo słabym, ledwie dostrzegalnym stopniu, jak to wskazują wyjaśnienia delegacyi. Tak np. w ustawie niema wzmianki, że wolno zawiązywać konsorcyum rolników, które może intendenturze dostarczyć minimalną partyę 1,000 korcy. Ustępstwa dają ten przywilej, a więc tym sposobem i drobni wytwórcy skorzystaliby z zapotrzebowania dla wojska. Następnie wolno składać kaucyę niekoniecznie gotówką, lecz w razie potrzeby zbożem. To jednak nieznaczne ulgi nie usuwają całego ogromu kolczastej formalistyki, na której fatalnie zawisnąć można.

Intendentura dla naszych rolników jest bardzo poważnym rynkiem. Pragnie ona szczerze zawiązać bezpośrednie stosunki z ziemianami, ale mimowoli, nie z jej winy, stają na przeszkodzie przepisy niewłaściwe. Gdyby nie to — wytworzyłyby się stosunki handlowe z korzyścią obustronną. Nie jest to jeszcze stracone ani dla intendentury, ani dla ziemian. Należało tylko wziąć się odrazu inaczej do rzeczy: zamiast tworzyć delegacyę, która dowiedziała się właściwie mniej, niż można się dowiedzieć od burmistrza lub wójta, trzeba było opracować memoryał, wykazujący w prawdziwem świetle warunki i potrzeby handlu zbożowego. Stosunki z intendenturą powinny być stałe, a więc memoryał taki w każdej chwili jest pożądany. Należy jeden egzemplarz złożyć intendenturze, drugi zaś przesłać do ministeryum rolnictwa. W taki tylko sposób można wyjednać z obustronną korzyścią zmianę przepisów i przystosować nie życie do kancelaryi, lecz kancelaryę do życia.

Zen. Piet.

W DALI.

Łódź. W styczniu powstanie nowy zakład lecznicy dla niezamożnych Żydów chorych na piersi („sanatoryum domowe“) przy szpitalu małż. Poznańskich. Stosowana tam będzie metoda „przyrodolecznicza“ (dużo powietrza, spoczynek, dobre odżywianie, wodolecznictwo, wpływ moralny). Dotychczas żaden szpital łódzki nie posiadał jeszcze oddziału specyalnego dla chorych na piersi. Prezes zarządu szpitala, p. J. K. Poznański, ofiarował całe urządzenie. Inni także przyczynili się znacznie do wyposażenia zakładu.

Petersburg. *Pet. Wied.* piszą: „Korespondent warszawski *Mosk. Wied.* donosi, że tam teraz wielce są rozpowszechnione papierosy „Zagłoba“ (nazwisko jednego z bohaterów „Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza) fabryki Stamboli w Teodozyi. Na pudełkach z tymi papierosami jest napis „papierosy Zagłoba“ jedynie w języku polskim. Stwierdziwszy przestępstwo państwowe, korespondent wyprowadza wniosek, iż Polacy „wytrwale lekceważą wymagania rządu względem języka państwowego“ i „dalecy są od szanowania wymagań rządu,“ pomimo, że „głośno się chwalą, iż są przejęci duchem lojalności.“ „Tak więc, za „przestępstwo,“ dokonane przez Greka Stamboli w Teodozyi, mają być także odpowiedzialni Polacy w Warszawie. Jakże mało korespondent musi mieć materyału do oskarżeń, jeżeli zmuszony jest zamawiać go aż w Teodozyi!“ — *Praw. Wiestn.* donosi: Według raportu gubernatora wojennego okręgu Samarkandzkiego, w gminie iskanderowskiej, rewirze piandżekendzkim, w Kiszlak Anzowie, położonym w miejscowości górzystej i niedostępnej, pojawiła się choroba epidemiczna z wielkim procentem śmiertelności. Na posiedzeniu komitetu zdrowia ludu, odbytem w Samarkandzie, z opisu objawów choroby, lecz bez badania bakteryologicznego, lekarze orzekli, że chorobą ową jest dżuma. Z późniejszych raportów okazało się, że według wiadomości, zebranych na miejscu, pierwszy podejrzany wypadek choroby zdarzył się wśród okoliczności następujących: We wsi Marzin zachorowała kobieta i wkrótce zmarła. Na pogrzeb jej przybyła z Anzowa Agjur-Bibi. Powróciwszy do Anzowa, natychmiast zachorowała i trzeciego dnia zmarła. Od tej chwili wśród rodziny i osób, które były na pogrzebie, następnie wśród mieszkańców Anzowa zaczęły zdarzać się wypadki choroby. Administracya miejscowa wydała natychmiast stosowne rozporządzenia. Drogi, wiodące do Anzowa, zamknięto. Odzież i pościel zmarłych palono, ze wsi wszystkich usunięto, chorych umieszczono w odosobnionych lokalach, wydano przepisy co do opieki nad chorymi i co do pogrzebu zmarłych. Zdrowych pozostawiono tymczasowo na miejscu, lecz umieszczono w nowych lokalach, gdzie pozostawać będą przez dwa tygodnie pod nadzorem. Dano im nową bieliznę, odzież, pościel, a dawne spalono. Wkoło Anzowa, otoczonego przez mieszkańców wsi sąsiednich, rozstawiono posterunki nadzorcze. Celem dozorowania działalności posterunków, wysłano oddziały kozaków. Personel lekarski powiększono, nowych lekarzy i felczerów zaopatrzono w odpowiednie lekarstwa i środki dezynfekcyjne. Naczelnicy gmin iskanderowskich donoszą, że w ich okręgach wszystko w porządku. Po otrzymaniu powyższych raportów, komisya wysłała do okręgu samarkandzkiego doświadczonych lekarzy i bakteryologów, którzy poznali dostatecznie epidemię dżumy w Indyach. Na drodze badań klinicznych i bakteryologicznych stwierdzą oni charakter choroby. — Rosyjskie Towarzystwo farmaceutyczne wzajemnej pomocy, założone w Moskwie, mając na celu poprawę losu i bytu pracowników aptekarskich, rozesłało do nich okólnik z dołączeniem bardzo drobiazgowo opracowanego kwestyonaryusza, dotyczącego warunków pracy i bytu. W okólniku tym, podpisanym przez prezesa Towarzystwa, Mertena, wiceprezesa Jachimowicza i sekretarza Gultykowa, instytucya wzajemnej pomocy farmaceutów zaznacza na wstępie, że za pozwoleniem J.C. W. General-Gubernatora moskiewskiego i p. ministra spraw wewnętrznych, przystąpiła do zbadania obecnego położenia farmaceutów i w tym celu utworzyła komisyę specyalną, która po wielu zachodach rozpisała kwestyonaryusz i drogą ankiety rozesłała go pracownikom aptekarskim tudzież tym właścicielom aptek, którzy sami czynnie w nich pracują. Towarzystwo w odezwie swojej zwraca uwagę kolegów po fachu na doniosłość podjętej sprawy, której pomyślne załatwienie głównie zależy od możliwie zupełnego i bezwzględnie dokładnego przedstawienia stanu rzeczy, w odpowiedziach na wszystkie postawione pytania. Towarzystwo wyraża nadzieję, że ciało aptekarskie pojmie znaczenie przedsięwzięcia i stanie na wysokości zadania, gdyż instytucya wzajemnej pomocy farmaceutów ma na celu jedynie przysłużenie się interesom zawodowym całego fachu aptekarskiego. Obok okólnika umieszczono dokładną instrukcyę, jak kwestyonaryusz Tow. farmaceutycznego w Moskwie powinien być wypełniony; obejmuje ona 8 punktów, a w ostatnim powiedziano, że wymienienie nazwiska dającego odpowiedzi nie jest obowiązkowe. Rezultat tej „ankiety“ ogłoszony będzie w *Farmaceutycz. Wiestniku.*

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Jurid. Gaz.* donosi: Ministeryum sprawiedliwości otrzymało projekt, który zaleca, ażeby dla utrwalenia stanowiska naukowego ekspertyzy sądowo-lekarskiej wszelkie badania sądowe chemiczne i mikroskopowo-chemiczne, dziś dokonywane przez miejscowe urzędy lekarskie, powierzane były najbliższym uniwersytetom, mianowicie profesorom medycyny sądowej i ich asystentom.

Zdrowie publiczne. Z Bombaju donoszą, iż zaraza w Indyach wschodnich szerzy się silnie. Gdy w r. z. w ostatnich trzech miesiącach liczono tam 250 ofiar, dziś w tym samym czasie biuro statystyczne przy urzędzie lekarskim notuje 1,400 wypadków śmiertelnych. W niektórych miasteczkach, uważanych za ognisko zarazy, jak Hubli i Dharwar, liczono w ostatnich dniach po sto wypadków śmierci. Surowica prof. Haffkinsa, jako środek zapobiegawczy, daje dodatnie rezultaty. W Bombaju dotychczas 20,000 osób kazało ją sobie zaszczepić. W Kalkucie epidemia szerzy się dość słabo. Dotychczas w ciągu ostatnich tygodni naliczono około 200 wypadków śmiertelnych. W Madras i Hyderabad epidemia również nie przybiera groźniejszych rozmiarów.

Sądy. Przed kratkami sądu okręgowego kieleckiego staną wkrótce cztery bandy złodziejów, które przez lat kilka niepokoiły wsie i osady w gub. Kieleckiej. Jedna z nich grasowała w pow. Olkuskim, druga w pow Kieleckim i Stopnickim, trzecia, największa, w p. Jędrzejowskim, Miechowskim i Pińczowskim. Banda jędrzejowska składa się z 90 uczestników, mniej lub więcej winnych. Do rozpraw sądowych przeciw niej prokurator zawezwie około 400 świadków. Oprócz powyższych, przed sądem stanie jeszcze jedna banda, przy której ujęciu jeden

z opryszków zabił strażnika Kożuchowa, a straż znów wystrzałami ze strzelb zabiła herszta bandy, Antoniego Malarskiego. (*Kur. Warsz.*).

Przemysł i handel. Zarządzający Bankiem państwa podniósł projekt utworzenia t. zw. kantorów okręgowych Banku państwa w Warszawie, Kijowie, Odesie i kilku innych większych miastach. Według opracowanego projektu, Bank okręgowy odbierać będzie sprawozdania od filij prowincyonalnych, które dotąd składały je bezpośrednio do Petersburga. Liczba urzędników będzie znacznie powiększona, a pensya podwyższona o 25%. Przy kantorach okręgowych utworzone będą posady inspektorów, których obowiązkiem ma być rewizya filij prowincyonalnych Banku państwa.

Wystawy i zjazdy. Rachunki wystawy kieleckiej wypadły świetnie. Dochód wyniósł 10,382 rb., wydatki 8,155 rb., pozostała więc nadwyżka w kwocie 2,227 rb. Dzięki temu, komitet mógł zwrócić miastu sumę 1,000 rb., udzieloną jako zasiłek, oraz kwotę 1,000 rb. ziemianom, złożoną przez nich na budowę szop dla inwentarza. Komitet ściągnie jeszcze kilkaset rubli od wystawców za miejsca, oraz za oświetlenie elektryczne. Nadwyżka dochodów złożona będzie w kasie miejskiej, jako fundusz przyszłej wystawy w Kielcach.

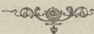
— W Poznaniu otwarto wystawę Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych.

Katastrofa kolejowa. Z Niższego Nowogrodu telegrafują, że w nocy d. 24 b. m. w pobliżu stacyi Garbatówka spotkały się dwa pociągi towarowe. Trzy wagony strzaskane, siedem uszkodzonych. Nieszczęśliwych wypadków z ludźmi nie było.

Zmarli. S. Altdorfer, bankier w Odesie, któremu nasza młodzież zawdzięcza wiele ofiar imiennie i bezimiennie nadsyłanych do naszej Redakcyi przez lat kilkanaście na wpisy szkolne.

— Dr. Stanisław Kondratowicz, w Monachium, wydawca *Gazety lekarskiej* w Warszawie, autor rozpraw specyalnych. Przełożył dzieła Barnesa p. t. „Odczyty o operacyach akuszeryjnych" i Schroedera „Wykład chorób kobiet."

SPROSTOWANIE. W nr. 43 *Prawdy* w artykule „Malarstwo," str. 513, szp. 1, w. 3 od dołu, zamiast: „starą szkołę," winno być: „stare szkoły"; w. 2 od dołu zam. „zła" — „słaba"; str. 513, szp. 2, w. 6 od góry, zam. „porochem," — „posochem"; szp. 3, w. 4 od dołu, opuszczono słowo „płótno."



Redaktor i wydawca dr. Gl. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 16 Октября 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.